

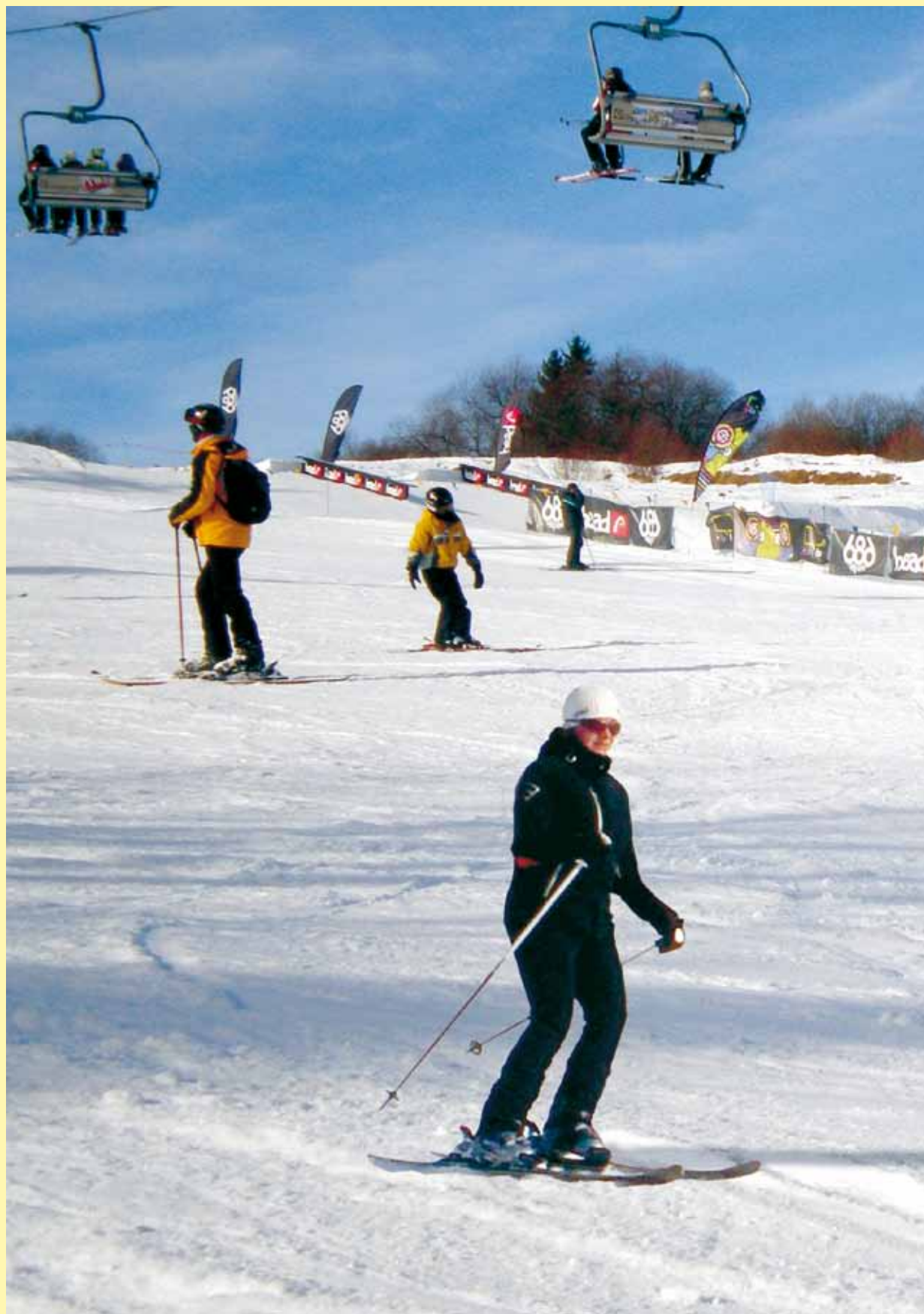
POD WIATR

NR1 (154) ROK XVIII LUTY/MARZEC 2011 CENA 2,10zł (w tym 5% VAT)

INDEKS 325112 ISSN 1231-0875

SAMI O SOBIE CZASOPISMO MŁODZIEŻOWE

1



Ferie w Witowie k. Zakopanego.

W numerze

**W blasku
Wielkiej
Damy**

**Widok
zza firanki**

**Majorka
Północy**

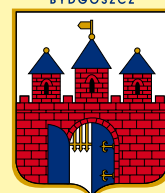
**Ekologia
bez granic**

**Witryna
Literacka**

■ Autorem **POD WIATR** jest młodzież: amatorzy dziennikarstwa, literatury, sztuki plastycznej i fotografii. Czasopismo czytane jest w 500 środowiskach polonijnych 106 krajów.

■ **POD WIATR** is created by young people: amateurs of the journalism, literature, fine arts and photography. This journal is read in 500 Polish centers in 106 countries.

BYDGOSZCZ



Rendez-vous z mediami

Uczestnicy popularnych **Międzyszkolnych Regionalnych Warsztatów Dziennikarskich** mają za sobą etap prasowy. Zajmowali się nim z wielkim zapałem przez pięć miesięcy. Poznawali teoretycznie i praktycznie poetykę podstawowych gatunków dziennikarskich. Efekty ich pracy znają już czytelnicy czasopisma POD WIATR w kraju, w Europie, w obu Amerykach, w Australii i Oceanii, Afryce i Azji.

Teraz kolej na radio, dźwiękowy teatr wyobraźni. Tajniki pracy reportera i realizatora radiowego odsłoni przed uczennicami i uczniami z Bydgoszczy, Kujaw, Pomorza i Wielkopolski **Rozgłośnia Polskiego Radia Pomorza i Kujaw**. Współpraca Warsztatów z bydgoską rozgłośnią, datująca się od 1992 r., umożliwiła poznanie radia 1573 uczennicom i uczniom z ponad 250 szkół, co jest ewenementem edukacyjno-medialnym w skali kraju.

A potem, w maju, uczestnicy dziesiętnastej edycji skonfrontują swoje wyobrażenia z techniką audiowizualną i studium telewizyjnym.



Międzyszkolne Regionalne Warsztaty Dziennikarskie w Bydgoszczy są atrakcyjną, bezpłatną alternatywą spędzania wolnego czasu dla uczniów o uzdolnieniach dziennikarskich i humanistycznych. Stanowią rodzaj preorientacji zawodowej wspomagającej decyzje o wyborze szkoły, profilu kształcenia, ułatwiają wybór studiów, ewentualnie przyszłej pracy zawodowej. Wielu niegdysiejszych absolwentów Warsztatów pracuje w mediach regionalnych i centralnych: w prasie, radiu i telewizji. Czytamy ich artykuły, słyszymy ich głos, widzimy ich twarze.

Warsztaty organizuje Młodzieżowy Dom Kultury nr 4 w Bydgoszczy pod patronatem Stowarzyszenia Sympatyków Dziennikarstwa Młodzieżowego. Od dziesiętnastu lat Warsztatami kieruje Mirosław Twaróg – ich twórca i autor koncepcji programowej.

W czerwcu rozpocznie się nabór do jubileuszowej, dwudziestej edycji Warsztatów. Już teraz zaplanujcie sobie udział w tym unikalnym rendez-vous z mediami.

Tekst i zdjęcie: Redakcja

Na zdjęciu: Grupa B tegorocznej edycji Warsztatów.



Nad Kanalem Bydgoskim.

fol. Robert Sawicki

 Dla Towarzystwa Kultury
 Polskiej Ziemi Lwowskiej
 we Lwowie
 zakup czasopisma
 POD WIATR
 sponsoruje KSIĘGARNIA
 PEDAGOGICZNO-SZKOLNA
 Marii Maćkowiak,
 ul. Markwarta 2 w Bydgoszczy.
 www.pedagogiczno-szkolna.pl

Nagroda dla Anny

Nagrodę uczestników XIX Międzyszkolnych Regionalnych Warsztatów Dziennikarskich za publicystykę w POD WIATR nr 6 otrzymała **Anna Nawrocka** z **Bydgoszczy**, autorka reportażu pt. „Magia dźwięków fortepianu”.

Gratulujemy



*Czasopismo młodzieżowe
 POD WIATR
 dotowane jest przez Kancelarię Senatu
 Rzeczypospolitej Polskiej.*



Zakup części nakładu czasopisma
 POD WIATR dla Polonii
 sponsoruje DRUKARNIA ORTIS Sp. z o.o. w Bydgoszczy
http://www.ortis.com.pl/pl/kontakt/kontakt_5



Zakup czasopisma POD WIATR dla szkół, bibliotek, instytucji kulturalno-oświatowych, klubów i organizacji polonijnych w Europie, Afryce, Ameryce, Australii i Azji sponsoruje FIRMA GOTOWSKI Budownictwo Komunikacyjne i Przemysłowe sp. z o.o. w Bydgoszczy – www.gotowski.pl

18 lat POD WIATR – wspomnienie sentymentalne

Kwiat od bezdomnego

– Niemożliwe! Tego jeszcze nie widziałem – żeby dziewczyna kłękła przed Barbakanem... Warto? Bruk był trochę zimny, ale wpatrzona w cienie rozmazane na ceglach, nie zwróciłam uwagi na chłód. Głos dobiegający z prawej strony na moment przywrócił mnie światu. Uśmiechnęłam się do brodacza siedzącego na murku i wyraźnie zainteresowanego moimi poczynaniami. Wyciągnęłam aparat, próbując uchwycić najciekawszy motyw zabytku.

GOŁĄB. W wymarzonem kadrze jednak czegoś mi brakowało. Czas uciekał. Dotąd ze spokojem i pewnością błędziłam po warszawskich uliczkach, nikt nie przerwał mojego rozkoszowania się Starym Miastem, a wszelkie ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem stolicy wydały mi się bezpodstawne. Żaden obcy jeszcze mnie nie zaczepił i wszystko wskazywało na to, że tak już pozostanie. Postanowiłam zrobić tę ostatnią fotkę przy Barbakanie i powoli udać się na dworzec. „Pożegnalne” zdjęcie, jak na złość, nie wyglądało tak, jak je sobie wymyśliłam. Na domiar złego przed obiektywem wzmógł się ruch, a po chwili usłyszałam dyskusje ludzi jakby z różnych planet.

– Po ile te kwiatki? – zagadnął „mój brodacz” mężczyzną z dwiema torbami pełnymi tulipanów.

– Złoty pięćdziesiąt – odparł tamten.
– Ale jeden...
– No, jeden! – handlarz nie wierzył chyba w szczerą rozmowę, typowego bezdomnego bywalca Starówki, bo nagle przyspieszył kroku.
– To ile? – nie ustępował biedak. – Jeden! Złoty pięćdziesiąt?!

Sytuacja, jakkolwiek ciekawa, przerwała mój spokój fotografowania i już miałam odejść, gdy nieoczekiwanie stałam się centrum zdarzenia.

– Jaki kolor lubisz najbardziej? – Słucham?! – zapytałam zaskoczona. – Wybierz sobie kwiatek.

– Ale pan nie może... – Nie jestem żadnym panem, jestem...

Na pierwszy rzut oka był przybyszem z Woodstock, tylko starszym o jakieś trzydzieści lat. Skojarzył mi się z gołębiem – symbolem pokoju, paradoksalnie wnoszącym chaos łopotem skrzydeł. Biła od niego serdeczność i ufność do człowieka wyciągającego rękę z kawałkiem chleba – istny gość rodem z Placu św. Marka. Wciąż jeszcze onieśmielona, przyjąłam tulipan w zamian za zgodę nieznanego na wykonanie zdjęcia w dręczącym dotąd bezosobowości miejscu. Wówczas był to kompromis, lecz z czasem okazał się dla mnie podwójnym prezentem.

DZIKIE GĘSI. Z uśmiechem przystąpiłam na propozycję zajęcia miejsca na murku „oblanym” słońcem. Mężczyzna cieszył się ciepłem promieni, a po chwili potwierdził moje wcześniejsze przypuszczenia: – Wiesz, kogo poznałaś? Starego, prawdziwego hipisa... Od lat bardziej wierzę w istnienie świętego Mikołaja niż w hipisa z krwi i kości.

On jednak, w wytartym kapeluszu, starej kurtce i skórzanych spodniach, które przeżyły z pewnością wiele rzeczy, rzeczywistość wyglądał jak włóczęga z lat sześćdziesiątych. Jego „autorytet” buntownika z pokolenia „peace & love” podnosił towarzyszący mu smutnooki kompan. – Poznaj Rudiego – przedstawił mi jasnobrązową psinę z pacyfką przy obroży. – Dostał ją wczoraj – dodał, wskazując znak pokoju. – On dostał, nie ja...

Troska, jaką otaczał swojego przyjaciela, urzekła mnie od razu. Odnosił się do niego jak ojciec – z miłością i stanowczością: – Znów sobie kagańcem rozdrapałeś ranę... Uważaj, nie skacz tak, bo się zawieszysz na kolczatce... Chodź, usiądź tutaj...

Tworzyli zgrany duet, ale to chyba nieodzwonne, gdy przebywa się razem dzień i noc, na dobre i na złe, wspólnie walcząc o kolejną przystań.

– Wędruję po świecie od dziewiętnastu lat – usłyszałam głos zmęczony, trochę podobny do pijackich wynurzeń, ale ten dziwny człowiek nie był pijany. Myślałam, że to może taka metafora i w rzeczywistości błąka się po prostu po Polsce.

– Nie. Po świecie. Właśnie wróciłem z Kielc, jutro jadę do Lublina, mam tam parę spraw do załatwienia. Muszę dostarczyć komuś coś, na co bardzo czeka – pokazał mi mocno wypchany ple-

cak. – A może zostaną tu jeszcze dwa dni, skontaktuję się z Agnieszką... Teraz czekam na paszport dla Rudiego i udajemy się do Amsterdamu.

Okazało się, że tam, w państwie tulipanów, ma znajomych, jakiś pewniejszy grunt. W państwie tulipanów... Spojrzałam na kwiat, który mi ofiarował – żółto-czerwony tulipan...

SŁABOŚĆ ORLA. Siedziałam na murku, uważnie wpatrując się w brodatego włóczęgę i widziałam radość nawet wtedy, gdy mówił o rzeczach smutnych. Co jakiś czas poklepywał psinę po grzbiecie, drapał za uchem, jednocześnie nie przestając opowiadać o sobie. Czasami odczytywał coś z moich krótkich wypowiedzi, interpretując „naukowo” ogólnoludzkie zachowania, jakby chciał pokazać, że nie jest zwykłym bezdomnym. W końcu przyznał się: – Ukończyłem psychologię. Wyobrażasz sobie? Chłopak z domu dziecka ukończył psychologię, a teraz jest bezdomny i potrafi przygarnąć bezdomnego psa.

W jego oczach błysnęła duma i chyba złość na przechodniów, którzy mijali nas obojętnie lub z wymownym uśmiechem. Stwierdził, że pewno niewielu z nich byłoby w stanie się zdobyć na to, co on. A ja? Mnie też zapytał, czy zdobyłabym się na coś takiego. Nie wiem – odparłam zaskoczona – nie mam chyba tyle odwagi i sił...

Nieznamy jakby się zmartwił i zamyślił na kilka minut, po czym głośno powiedział: – Nie jestem silny!

Zabrzmiało to jak wyznanie wiary wobec otaczającego nas tłumu. Później już spokojnie rysował przede mną uroki życia tułacza. Słuchałam tego, nie wiedząc, czy go podziwiać, czy też mieć wyrzuty sumienia, bo kiedy on spał (a raczej czuwał) na dworcu, ja leżałam otulona ciepłą koldrą, nie martwiąc się o nic. Temat własnej włóczęgi zakończył radośnie, choć to, co powiedział, wcale nie kojarzyło mi się z sielanką: – Nie jestem sezonowcem, bo to nie jest autentyczne. Co może fascynować

w tym, że żyje się pod gołym niebem tylko wtedy, gdy jest ciepło i sucho?

OCZY SOWY. Bezdomny pies i ja zajmowaliśmy murek odgradzający dwa światy. Z prawej strony widziałam samą naturę: trawę, drzewa, koty i przykuwające uwagę Rudiego ptaki, z lewej – wiecznie spieszący się ludzi. Wydawało się, że prezentujemy dwie odmienne planety, on – tę piękniejszą, ja – realniejszą. Mój nieznamy nie izolował się jednak od rzeczywistości, czuł się członkiem tego stale biegnącego społeczeństwa, uczestniczył w jego życiu bardziej niż ja. Na wyciągnięcie ręki mieliśmy kościół oo. Paulinów. Na ich widok „prawdziwy hipis” wołał z szacunkiem: – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – i uśmiechał się otwarcie. Zastanawiało mnie to nietypowe zachowanie.

– Spotkałem fantastycznego księdza – powiedział zniechęca – dał mi dwadzieścia złotych. Bardzo mi pomógł.

Z dalszych opowieści wywnioskowałam, że wielkość kapłana wcale nie polegała na wręczeniu pieniędzy potrzebującemu.

– Od razu kupiłem Rudiemu chappi i konserwy. Mój podziw dla niego rósł z minuty na minutę. Wtedy przypominałam sobie innego bezdomnego, który otrzymawszy śniadanie, podzielił się nim z ptakami. „Pan psycholog”, jakby czytając w moich myślach, dodał: – Bezdomny odda ci ostatnią koszulę. Po chwili zamyślenia dorzucił: – Nie każdy, oczywiście...

W oczach człowieka znikąd cały czas tliła się iskra radości, nadająca zmęczonej twarzy młodość. Wzbudzał zaufanie, nie wydawał się cierpieć na samotność. Dobrze wiedział, co znaczy obcowanie z ludźmi. Mówił przecież: – Jeżeli chcesz poznać kogoś niezwykle, musisz podejść pierwszy. Dobro i zło nie zależy od miejsca, ale od tego, kogo spotkasz.

Zaczęliśmy sprzeczać się o to, czy bałam się, gdy zaproponował mi tulipan. Nie bałam się...

– Szanuję cię za to, że siedzisz tu ze mną. Spójrz na tego faceta – wskazał mężczyzną w szarym płaszczu i okularach – gdybym do niego podszedł, olałby mnie i uciekł.

Mój rozmówca wielokrotnie powtarzał słowo „szanuję”. Gardził mięczakami niepotrafiącymi walczyć o swoje. Podziwiał przyjaciela, który zmuszony przez szkołę do oglądania „Przedwiośnia”, wyszedł znużony w połowie filmu. Zgodnie z hipisowską duszą, wyklął nauczycieli nakazujących chłopcu iść do kina wbrew jego woli. – Nie wolno gwałcić swojej psychiki – powtórzył kilkanaście razy z istic psychologiznym zacięciem. Prosił, abym o tym nie zapomniela. Pamiętam.

SKOWRONEK. Czas płynął. Spojrzałam na zegarek, uświadamiając sobie, że niedługo mój jedyny autobus odjedzie beze mnie. Patrząc na mojego nieznanego, na jego psa i żółto-czerwony kwiat, trudno było mi odejść. Gdybym potrafiła odwzajemnić się jakoś za te magiczne ostatnie chwile w stolicy...

– Pieniądze zabijają – dźwięczało mi w uszach – dlatego ich nie mam. Pomyślałam, że propozycja wsparcia finansowego byłaby żenująca. Zresztą wszystko wydawało mi się wtedy mało istotne. Wszystko, oprócz tego, co otrzymałam.

– Wiesz, dlaczego dałem ci właśnie tego tulipana?

– Nie wiem.
– Dałem ci wiosnę. Nie pozwól mu zginąć. Ususz go.

Podaliśmy sobie ręce. Odeszłam, by po kilkuset krokach wrócić. Znalazłam coś, co mogłam mu ofiarować. – Zawsze chciałem mieć coś takiego... Grzeczny? Nieważne... Nasze uśmiechy były szczerze.



Collage

fol. Robert Sawicki

Z Kanady

Wyczarował nutki ze starego pianina

Czwartego grudnia minionego roku nasza szkoła miała przywilej gościć młodego muzyka Janka Lisieckiego. Janek dał nam poznać się jako nie tylko światowej klasy artysta, ale przede wszystkim jako nastolatek – rówieśnik naszych uczniów. Prawie przez godzinę opowiadał nam o swoim niezwykłym życiu, nauce i codziennej ciężkiej pracy. Naturalnie grał na pianinie. Jak...? Tego żadne słowa nie opiszą ani żadne gesty nie wyrażą. Tego trzeba było posłuchać! Nie przeszkodziło mu w tym minikoncertcie ani przeziębienie, ani sfatygowane pianino naszej szkoły.

Przez swoją prostolinijność w odpowiedziach, skromność w zachowaniu i artyzm przedstawienia udowodnił rówieśnikom, że wszystko jest możliwe – pod warunkiem wiary w swoje możliwości i wytrwałość w mozolnej pracy. Zbędnym jest chyba nadmienić, że Janek – chociaż urodzony w Kanadzie – rozmawiał z nami po polsku (bez cienia akcentu), będąc przy tym dumnym z dziedzictwa dwóch kultur. Jakże pozostał wrażeni? Z czytelnikami POD WIATR dzieli się nimi nasi uczniowie.

Jarosław Moczarski
nauczyciel Szkoły Polskiej
w London, Ontario

My o Nim

Mieliśmy w naszej Polskiej Szkole im. Stanisława Staszica w London, Ontario niezwykłego gościa. Przyjechał do nas Jan Lisiecki, piętnastoletni pianista, który jest już znany na świecie jako muzyczny geniusz (choć sam się za takiego nie uważa). Janek urodził się w Calgary, Albercie, w rodzinie polskich emigrantów. Pięknie mówi po polsku, a jego drugim hobby, po muzyce, jest lotnictwo.

Jan jest bardzo wysoki i szczupły. Ma długie ręce – idealne do grania na pianinie. Jest blondynem i ma jasne oczy.

Podczas występu w naszej szkole miał bardzo spokojną i łagodną twarz. Tę promieniującą łagodność można było także usłyszeć w jego cichym głosie. Janek okazał się bardzo uprzejmy, zawsze dziękował za zadane mu pytanie. Mówił o sobie bardzo skromnie. Grając nam na starym, szkolnym pianinie, wydobył z niego dźwięki przepelnione uczuciem. Przeżywanie muzyki przez artystę można było dostrzec również po tym, jak poruszał się podczas koncertu. Janek jest bardzo zdolnym i miłym chłopcem. Zapewne jego życie jest inne od mojego, „normalnego” życia, ale myślę, że mogłabym się z nim zaprzyjaźnić. Jego gra

zrobiła na mnie duże wrażenie. Nie sądziłam wcześniej, że tak pięknie można wyczarować nutki ze starego pianina.

Emila Kapuściński I. 15

Janek Lisiecki jest bardzo utalentowanym chłopcem i mimo że ma tylko piętnaście lat, jest już uważany za wirtuoza gry na fortepianie. Jego rodzice są Polakami, a on sam bardzo dobrze mówi po polsku. Jest bardzo mądrym chłopakiem. W szkole „przeskoczył” cztery klasy do przodu. Podczas spotkania z nami opowiadał, jak podróżując po świecie, poznał wiele ważnych osób, które podziwiają go i szanują.

Janek, jak na piętnastoletniego chłopca, jest bardzo wysoki i na początku nie wierzyłam, że ma tylko tyle lat. Wszedł do naszej sali gimnastycznej pewnym krokiem, ale gdy zaczął mówić do publiczności – okazał się bardzo sympatyczny i miły. Kiedy usiadł do pianina, zauważyłam, że ma bardzo duże dłonie, które zapewne pomagają mu w graniu trudnych utworów muzycznych.

Mieliśmy możliwość porozmawiać z Jankiem i zadać mu pytania, co pozwoliło mi poznać trochę jego charakter. Nie uważa się za geniusza, jak o nim piszą i mówią. Myślę, że ma świadomość swojego talentu, ale wcale się tym nie chwali. Nam dał poznać się jako bardzo spokojny, pracowity, życzliwy, a nade wszystko skromny chłopiec. Zauważyliśmy, jak taktownie zachowuje się wobec innych, odnosząc się do każdego z szacunkiem. A przy tym okazał się bardzo bystrym rozmówcą. Potrafił interesująco odpowiadać na rozmaite pytania.

Byłam i wciąż jestem pod wrażeniem osobowości Janka Lisieckiego. Cenię go za to, że potrafi tak pięknie tworzyć muzykę, wzbudzając podziw słuchaczy.

Gabryela Gooding-Krysińska I. 15



Janek w naszej szkole.

fort. Jarosław Moczarski

Więcej o Janie Lisieckim na www.janlisiecki.com



Z Paryża

W blasku Wielkiej Damy



„Miasto na tyle duże, żeby się zgubić, ale i na tyle małe zarazem, żeby móc coś dla siebie znaleźć”. Tak o Paryżu pisze Carlos Ruiz Zafón w powieści „Cień wiatru”. O trafności spostrzeżenia tego hiszpańskiego autora sama się przekonałam. Zdarzyło się to tak...

Siedziałam przy kuchennym stole z filiżanką herbaty i wsłuchiwałam się w melodię wygrywaną przez krople deszczu stukające o szybę. Z letargu wyrwał mnie szelest papierowej torebki. Z jej wnętrza wyjął przewodnik i bilet lotniczy do Paryża – prezent na moje osiemnaste urodziny! Od tamtej chwili do postawienia pierwszego kroku na francuskiej ziemi minęło kilka tygodni oczekiwania i niecałe dwie godziny podniebnej podróży. Pierwszy spacer słynnymi Polami Elizejskimi (fr. *les Champs Élysées*) o poranku okazał się bardzo dobrym pomysłem. O tej porze dnia jedna z najbardziej ruchliwych arterii paryskich pozbawiona jest tłumów turystów i mieszkańców. Właśnie wtedy najlepiej można podziwiać blisko dwukilometrową aleję, na której ulokowały się butikami najbardziej znanych marek światowej mody. Już podczas Rewolucji Francuskiej słynna aleja była modnym miejscem spacerów, lansowania nowych trendów i kupowania ekstrawaganckich kreacji od najlepszych projektantów. Po krótkiej przerwie na francuskiego rogalika (fr. *croissant*) i kawę (najlepszą, jaką dotąd piłam) w jednej z paryskich *brasserie* ruszyliśmy dalej – wzdłuż Sekwany.

Obserwując leniwie płynące po rzece statki, dotarliśmy do Muzeum d’Orsay. Mówi się, że ci, którym czas pozwala na zwiedzenie tylko jednej paryskiej galerii, powinni wybrać właśnie tę skarbnicę XIX-wiecznej sztuki, szczytującą się niezwykle liczną kolekcją malarstwa impresjonistycznego i postimpresjonistycznego. O prawdziwości tego stwierdzenia przekonałam się już w chwili przejścia przez bramę obiektu, który w okresie 1900–1939 pełnił funkcję... dworca kolejowego. Sam budynek uważany jest za arcydzieło architektoniczne. Dworzec d’Orsay długo funkcjonował

także jako naturalna scenografia filmowa, m.in. w ekranizacji powieści Franza Kafki „Proces”. Wnętrze jest ogromne, dlatego łatwo się zgubić. Dzięki takiemu wędrowaniu „na oślep”, trafiłam do sali Courbeta, a następnie Moneta, którego dziełami malarskimi zachwyciłam się bezpowrotnie. Dopiero w tym miejscu uświadomiłam sobie, czym jest talent i kto to jest artysta. Oni z pewnością nimi byli.

Z artystycznych uniesień spadłam wprost do kolebki edukacji. Wąskie uliczki, wysokie budynki, kamienice ozdobione monumentalnymi rzeźbami i mnóstwo kawiarni oraz lokalnych sklepików z żywnością i pamiątkami tworzą niepowtarzalny klimat Dzielnicy Łacińskiej. Znajduje się tu jeden z najstarszych i najbardziej znanych uniwersytetów na świecie – Sorbona, której grube mury ogranicza barokowa brama. Oprócz uniwersytetu paryskiego, naczelną rolę zajmuje Nasza Pani, czyli gotycka katedra Notre-Dame. Ogromny z zewnątrz i niezwykle bogaty w środku budynek kościoła onieśmiela wszystkich. Sto trzydzieści metrów szerokiej nawy głównej umożliwia dość długi spacer. Największy zachwyt wzbudziły we mnie misternie wykonane witraże i okna rozetowe w transepcie, które dopiero oświetlone słonecznymi refleksami w pełni prezentują swą wspaniałość.

Kolejny dzień w mieście, które pragnęłam zobaczyć, odkąd zaczęłam myśleć, nie przyniósł rozczarowania. Paryż dysponuje ogromną liczbą muzeów, które kryją największe dzieła sztuki. Gratką dla wielbicieli malarstwa i rzeźby jest Luwr. Nie należę ani do tych pierwszych, ani do drugich, ale uwierzcie, że po wizycie w miejscach oddychających sztuką, nie sposób nie rozkochać się choć w jednym dziele

i nie chcieć poznać innych, dowiedzieć się więcej o historii, stylach malarskich. Wprost nieuniknionym jest rozbudzenie swej wrażliwości na piękno. Wchodząc przez szklaną piramidę, znalazłam się wśród 35 tysięcy dzieł i mnóstwa podziwiających je ludzi. Trzymając się planu, wypatrzyłam „Venus z Milo” – wspaniałą rzeźbę odnanioną w 1820 roku na greckiej wyspie Milo, i słynną „Mona Lisę” Leonarda da Vinci. Dotarcie do

tych dwóch arcydzieł zajęło mi tyle czasu i pochłonęło tyle energii, że inne dzieła oglądałam, aż nazbyt pobieżnie. Ale nie jestem odosobniona w tak skrzętnie zaplanowanym, a zarazem niedokładnym, sposobie zwiedzania – gdybym chciała poświęcić zaledwie kilka sekund na obejrzenie każdej znajdującej się w Luwrze ekspozycji, musiałabym spędzić tam co najmniej cztery dni i noce! A już po tych kilku godzinach biegania po schodach i korytarzach byłam zbyt zmęczona, żeby tego dnia móc iść gdziekolwiek dalej...

Al e nie wiedziałam jeszcze, co przyniesie popołudnie. Piękne, słoneczne, spędziłam w jednym z najbardziej urokliwych i magicznych miejsc w Paryżu. Montmartre to dzielnica pełna sprzeczności.

ciąg dalszy na str. 6.





W blasku Wielkiej Damy

ciąg dalszy ze str. 5.

Z jednej strony – niewinna, spokojna, tajemnicza, jakby nie z tej epoki, przypomina mi tło filmu „Amelia”; pełna ludzi zanurzonych w ezoterycznej atmosferze, magiczna, jakby oddzielona niewidoczną barierą od świata zewnętrznego. Taką atmosferę tworzą kościółki, niskie i stare kamienice, małe parki i schody. Druga strona Montmartre’u to świat pełen erotyzmu i wulgaryzmu, tryskający humorem, pełen energii i muzyki, co zawdzięcza usytuowanemu tu Moulin Rouge. Długa wąska uliczka i niezbyt strome, otoczone zielenią schody zaprowadziły mnie na szczyt – do wspinałkiej, olśniewającej białej bazyliki Sacré-Coeur. Wzniesiona została na planie krzyża greckiego, ozdobiona czterema kopułami – centralna ma 80 metrów wysokości i to właśnie ona stanowi taras widokowy, z którego roztacza się widok na panoramę stolicy. Cała dzielnica ma w sobie ducha wspomnianego już filmu „Amelia” – tu też znajduje się Café des Deux Moulins, gdzie główna bohaterka – *mademoiselle* Poulain pracuje jako kelnerka. Ale kawiarnia, mimo ogromnych możliwości marketingowych, zachowała dyskretny, skromny urok. Jedynie na drzwiach wejściowych kamienicy widnieją zdjęcia z planu filmowego.

Paryskie metro powiozło mnie do Centrum Pompidou. Budynek, na którym przewody grzewcze, rury wodociągowe, kable elektryczne i przewody klimatyzacyjne zostały umieszczone na jego zewnętrznych ścianach. Każdemu elementowi przypisany jest inny kolor, a więc całość tworzy niezwykle zabawny obiekt o różnorodnych barwach. Stamtąd udałam się do Galerii Lafayette, która należy do ulubionych miejsc zakupów mieszkańców Paryża. Pięciopiętrowa konstrukcja bardziej niż galerię handlową przypomina muzeum. Nie ma tu wydzielonych boksów sklepowych, a na poszczególne piętra wjeżdża się

przeszkloną windą. Przebrnęłam więc przez wszystkie kondygnacje, poczułam zapach i smak luksusu, podziwiałam (tak jak 25 milionów innych klientów przez cały rok) produkty najwspanialszych francuskich marek i udałam się na dalszą część spaceru po Paryżu – na cmentarz Père-Lachaise.

Niezwykły klimat miejsca sprawił, że zostałam tam o wiele dłużej, niż zamierzałam. Znalazienie grobów tych zmarłych, do których chciałam dotrzeć, w praktyce okazało się zadaniem niemożliwym do wykonania ze względu na ogromną powierzchnię cmentarza i liczbę grobów (około stu tysięcy). Udało mi się jednak odnaleźć grobowiec Fryderyka Chopina, na którym część epitafium wygrawerowana jest w języku polskim, oraz skromny nagrobek Jima Morrisona, który pewnie minęłabym, nie zauważając go wcale, gdyby nie tłum młodych ludzi z aparatami fotograficznymi, w koszulkach „The Doors”.

Jednak gdziekolwiek bym się nie znalazła, mój wzrok nieuchronnie przykuwała dziwnego kształtu stalowa konstrukcja – Wieża Eiffla. Powstała z okazji Wystawy Światowej w 1889 roku. Po burzliwych dziejach dziś jest chyba najbardziej rozpoznawalnym symbolem Paryża, a wielu turystów odwiedza to miasto tylko po to, żeby zobaczyć Wielką Damę. Stojąc w niewiarygodnie długiej kolejce w oczekiwaniu na możliwość wjazdu na szczyt, obserwowałam dziesiątki (jeśli nie setki) czarnoskórych sprzedawców oferujących metalowe repliki Wieży we wszystkich rozmiarach; podziwiałam budowlę „od dołu”, bowiem siatka stalowej konstrukcji zachwyca liczbą i regularnością powiązań. Gdybym z wnikliwością i dokładnością uprzednio nie zwiedziła Paryża, z pewnością nie byłabym usatysfakcjonowana widokiem z tarasu Wieży Eiffla – oglądanie rozedrganego w słońcu, ciągnącego się, aż po horyzont miasta, którego prawie się nie zna, powoduje, że niewiele udało by się zrozumieć. Ja jed-

nak doceniłam widok z wysokości prawie 116 metrów. Zagłębiłam się w tkaninę Paryża, widziałam ją z bliska i teraz mogłam swobodnie przypatrywać się znanym mi obiektom z góry. I stwierdzić, że Paryż nadal pozostaje w cieniu? blasku? Wielkiej Damy, niedoścignionego obiektu westchnień turystów i zazdrośnych spojrzeń konstruktorów.

Z wysokości przyglądałam się Paryżowi także z Łuku Triumfalnego. Choć mieszkałam zaledwie kilka kroków od *place de l’Etoile*, czyli Placu Gwiazdy, na górę weszłam dopiero ostatniego dnia. Pobyt na szczycie dostarczył zupełnie innych doznań niż poprzednie prawie lewitowanie nad stolicą Francji. Przebywanie na górze pomnika o zachodzie słońca to przeżycie nie lada metafizyczne. Na Łuk prowadzą 284 kręte schody, zwane *lier en escargot*, czyli w kształcie ślimaka. Oj, zakręciło się w głowie. Od liczącego 120 metrów średnicy okręgu rozchodzi się gwiazdziście 12 alei. Z korony Łuku doskonale widać także Łuk Europy w nowoczesnej dzielnicy

La Défense, stojący na przedłużeniu osi Łuku Triumfalnego, w odległości około 7 kilometrów. Od 1920 roku Łuk Triumfalny pełni również funkcję Grobu Nieznanego Żołnierza. Płomień pamięci zapala się każdego wieczoru.

Uroku ostatniego wieczoru w Paryżu dopełnił widok migoczącej tysiącami światełek Wieży Eiffla. Cały Paryż był wtedy skąpany w blasku bijącym od Wielkiej Damy.

Takie poznajemy atrakcje Paryża, jakie sobie sami wydepczemy. Oczywiście nie zwiedziłam wszystkiego, ale już są miejsca, takie jak róg ulic *Trois Freres* i *Androuet*, *brasserie* *George V* przy *Champs-Élysées*, widok w prześwicie witraża *Notre-Dame*, *L’Arc de Triomphe* wieczorową porą i ławka na *Place D’Iena*, które stały się moją własną, niezapomnianą atrakcją. Tam działa jakaś metafizyka, która nie pozwala o Paryżu zapomnieć. Obraz tamtych miejsc i chwil w nich spędzonych wraca w postaci wspomnień i... snów o powrocie do miasta światła, miłości, wina i długich spacerów.

Tekst i zdjęcia:
Karolina Podemska I. 18
Na zdj. – obrazki paryskie i ja na tle Wielkiej Damy.



My z XXI wieku

Co się z nami stało?

Zadałem to pytanie kilkunastu osobom z bliższego i dalszego otoczenia. „A co, stało się coś, że pytasz?” „A co się miało stać, ogólnie normalka, bo co?” I nagle... „Też zauważyłeś, że coś się stało? Porozmawiajmy”.

Dla tej jednej (sic!) odpowiedzi, przygotowując się do rozmowy, postanowiłem zgłębić kilka prawd. Jakie są nasze ideały? Czy my je w ogóle mamy? Co tak naprawdę się w życiu liczy? Z czego czerpiemy wiedzę, z czego doświadczenie?

Zacząłem od kilku pism młodzieżowych, zakładając, że jest to kawałek rzeczywistości. Tej tu i teraz. Kilka tytułów pełnych prymitywnych artykułków i listów czytelników, oczywiście „autentycznych”. Po lekturze tej „literatury” już wiem, że najważniejszy jest luz, lans, *cash* i seks. Należy wyluzować, szkoła nie zajac, nie ucieknie. Wszystko byłoby *wpozo*, gdyby nie matma, fiza, biola i takie tam inne. Zresztą, do szkoły nie przychodzi się, żeby zgłębiać wiedzę. Dla wyluzowanych nastolatków to przede wszystkim teren łowów. Należy *wyhaczyć łaskę* albo *obcałać* niezłe *ciacho*. Potem to już tylko jazda po bandzie.

Wiem także, że to idole półświatka artystycznego kreują wzorce osobowościowe, absolutnie godne naśladowania. Pije się i pali na maksa, tak aby nie złapali. W weekend należy nawalić się jak falochron w czasie sztormu (pisownia oryginalna). I tak dalej... A dalej, to marketing zamiast edukacji, dehumanizacja seksu, często przedstawiana w zwulgaryzowany sposób. Wizja świata, w którym wszyscy „to robią”, niekoniecznie jest odbiciem rzeczywistości. Ale to mocny i nośny temat (czyli taki, który podnosi nakład). Wreszcie gadżety, polecane na wrzaskliwych stronach, których ceny powinny zainteresować tylko bardzo dobrze zarabiających menadżerów. Jeszcze ciuchy od najlepszych projektantów, lannerskie *impry* w wypasionych klubach.

Rzucając żalosne „czytadła” w kąt, siadam przed telewizorem, licząc, że może tu znajdę jakąś namiastkę życiowego wzorca. Mój wybór pada na stacje młodzieżowe. Skoro są skierowane bezpośrednio do nastolatków, to powinny przekazywać uniwersalne prawdy i być pomocą dla dorastających ludzi. Myliłem się. Stacja pierwsza – schematyczne seriale z bezadziejnie podłożonym dubbingiem pod zagraniczne, sezonowe gwiazdeczki. Wszystko w klimatach sławy, snobizmu i bezkarnego próbowania „zakazanych owoców”. Zdegustowany postanowiłem szukać dalej, jednak wszędzie znajdowałem to samo. Nawet w stacji muzycznej – tutaj z ekranu epatowały półnagie młode kobiety i mężczyźni, a języki i styl piosenek kiedyś uznane zostałyby za przyspiewki plebsu.

Krok następny – poszukiwania na stronach internetowych. Na pierwszy ogień idą porady poświęcone nastolatkom oraz te tworzone przez samą młodzież. Jest tak, jak się spodziewałem. Seks – tak, by nie było żalosnej wpadki, papierosy – tak, by rodzice nie znaleźli, i alkohol – tak, by nauczyciel nie poczuł na lekcji. Dostępność używek i pornografii, a często zachęcanie do skorzystania z tego typu „przyjemności”. Z jednej strony ekranu – młodzież, często zagubiona i szukająca rozwiązań życiowych, a z drugiej? Autorytety? Wujkowie Dobra Rada? Czy może ludzie, którym zależy na zdołowaniu młodego pokolenia, by ich nie przerosło?

Zgłębiając się, a właściwie pograżając, i mam wrażenie, że my, młodzi, jesteśmy konsumpcyjnie rozrzuconymi sierotami. Bo nie ma tu miejsca ani dla rodziców,

ani dziadków. Co to w ogóle jest rodzina: numer konta, adres, jakiś budynek? A gdzie jest DOM? Chory przeżytek, nie-realny świat, nieznajdujący odzwierciedlenia w rzeczywistości. Przecież nasza klasa, facebook, fotka i Google wiedzą o nas znacznie więcej niż rodzina, pomijając to, że wgląd w nasze tajemnice może być bardzo niebezpieczny.

A młodość? Nabrałem przekonania, że jest po prostu wieczna (w razie czego, zawsze pod ręką jest botoks). Może ten nadzwyczajny jad kiełbasiany (brzmi ohydnie) jest jadem innego typu i wciska się nie tylko pod skórę? Wiem również, że starość jest nielegalna, że młodość rozpycha się lokciami, by samoistnie rządzić nowoczesnością. Starość jest wstydem, który należy ukryć pod maską, bo odebrano jej login i hasło do normalnego życia. Może starczy: steku bzdur, komunałów, blichtru, luzu i głupizny. Każde pokolenie miało swój margines. Najważniejsze, by nie był on szerszy od zasadniczej strony. Bo przecież nie wszyscy jesteście „zbrakowani”.

Co się z nami stało? Może po prostu trochę się pogubiliśmy, bo nas życie przerosło. Ale przecież wiara, nadzieja i miłość to nie tylko symbole srebrnych zawieszek na szyi. To wartości, do których MY z XXI wieku naprawdę chcemy dążyć. Znalazłem wiersz Małgorzaty Hillar, dziś chyba zapomniany (a szkoda), pt. *My z drugiej połowy XX wieku*:

My z drugiej połowy XX wieku

*rozbijający atomy
zdobywcy księżycy
wstydzimy się
miękkich gestów
czułych spojrzeń
ciepłych uśmiechów*

*Kiedy cierpimy
wykrzywiamy lekceważąco wargi*

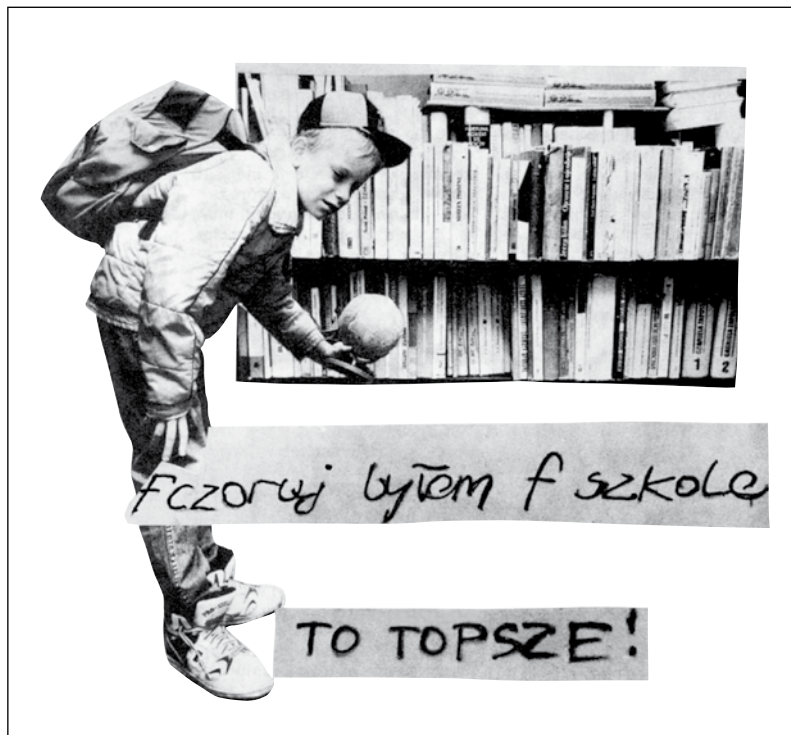
*Kiedy przychodzi miłość
wzruszamy pogardliwie ramionami*

*Silni cynicy
z ironicznie zmrużonymi oczami*

*Dopiero późną nocą
przy szczelnie zasłoniętych oknach
gryziemy z bólu ręce umieramy
z miłością*

Jak ktoś o nas kiedyś napisze?

Michał Zaborowski I. 16
Collage archiwum



Wróg książki

Ludzie dzielą się na tych, którzy czytają książki, i na tych, którzy ich nie czytają. Tymczasem Maria Dąbrowska stwierdziła: „Książka i możliwość czytania to jeden z największych cudów ludzkiej cywilizacji”. Zajmijmy się tymi, którzy czytają. My, Nałogowi Czytelnicy, po przeczytaniu wszystkich interesujących nas książek z zasobów własnych, pędzimy do biblioteki miejskiej czy wiejskiej, zaglądamy na każdą półkę lub nawet pod, jak zjardzie taka potrzeba. Jeśli jed-

nak i tam nie ma nieprzeczytanej jeszcze przez nas książki, wybieramy azy-mut – księgarnię.

Ach, jakie to cudowne miejsce – pełne książek, pełne setek zapisanych stron, pełne tysięcy proszących o przeczytanie literek. To podekscytowanie, gdy podchodzimy do regału i mrowienie w palcach, gdy podnosimy tę książkę, tę właśnie, która „wpa-dła nam w oko”, jest nie do opisania. Mamy w rękach pachnącą jeszcze farbą drukarską książkę. Tak, to właśnie

o niej marzyliśmy, to ona ma towarzyszyć nam przed snem i przenosić nas w świat znany na razie tylko jej. Czytamy opis. Coraz bardziej nam się podoba i nagle widzimy „go”, a właściwie „ją” – wroga książki, wielką, olbrzymią, szkaradną cenę.

Odkładamy szybko książkę na półkę, sięgamy po inną, ale choć to już nie ta sama, to cena również wysoka i szkaradna; rozglądamy się po księ-garni i już wiemy, że mimo iż wszystkie książki w księgarni śmieją się do ciebie, ona – cena, wie, że i tak żadnej nie kupimy. Wychodzimy z księgarni z pustymi rękoma, smutni i przygnębieni.

Media alarmują: Polacy coraz mniej czytają. W minionym roku podobno 67 proc. rodaków nie przeczytało ani jednej książki. Co w tym dziwnego? Są

oczywiście osoby, które nie czytają, bo brzydzą się słowem pisanim, ale są też Nałogowi Czytelnicy, tyle że bez kasy. Średnia cena książki, z tego, co zauważyłem, to około 30 złotych. Na ile książek w miesiącu może sobie pozwolić statystyczny Kowalski albo zwykły gimnazjalista, licealista? Media biją na alarm, że młodzież nie czyta książek, ale ile książek można kupić z kieszonekowego? Jedną, czasem mniej. A szyszzące z nas ceny jeszcze idą w górę.

Takie są polskie realia. Sytuację mogłyby poprawić na przykład zniżki dla uczniów. Kto by tam jednak przejmował się opętanymi, żądnymi książek czytelnikami z paroma grosikami w sakiewce. Kasę mają dyktatorzy cen. Ale – czy oni czytają książki?

Jakub Brózdowski I. 16

Jeszcze kilka miesięcy temu Małgosia Janakiewicz, uczennica gimnazjum przy bydgoskim Liceum Ogólnokształcącym nr 7, nie różniła żadnego gatunku ptaków, no może wróble. Prawdę mówiąc, nawet rzadko je w swoim pobliżu dostrzegała. – Teraz, tuż przed dniem św. Jerzego, podnosiłam często głowę do góry, niepokojnie patrzyłam w niebo, bo czekałam na przylatujące wtedy do nas jerzyki. W duchu nazwałam je – niebieskie. Czekałam na nie z utęsknieniem – wyznaje. Od pół roku w relacjach Gosi z przyrodą wszystko zmieniło na lepsze. Gosia nauczyła się nie tylko różniczać gatunki ptasiej rodziny, ale także prawdziwie je pokochać. Sprawilo to aktywne uczestnictwo w kółku biologicznym prowadzonym przez nauczycielkę przedmiotu, Iwonę Załęską, w ramach unijnej pomocy **Kapitał ludzki**.



Pokochaj ptasią rodzinę

Pani Załęska starannie przygotowywała swoich wychowanków do tegorocznej zimowej akcji dokarmiania ptaków i dbania o ich budki lęgowe, zarówno w środowisku naturalnym, głównie parkach, jak i sztucznym. Oni z kolei na tę staranność odpowiadali zapałem.

Najpierw zapoznawali się z bogactwem i różnorodnością ptasiej gromady. – Praktycznie, na systematycznych zajęciach w miejscu ich lęgu – wyjaśnia biolożka. Na terenie Kanału Bydgoskiego, rywalizując między sobą niczym bezbłędnie tropiący ślady Indianie, uczyli się wspólnie podczas jesiennych spotkań trafnie rozpoznawać bogato i kolorowo upierzonego zimorodka, klejnot w naszym świecie ptaków – wilgę, rozspiewanego drozda, lekarza drewna, czyli dzięcioła, niezmiernie ruchliwą sójkę, płochliwe kawki i spokojne, opanowane kruki. W ten sposób uzyskali na zimę rzetelną przepustkę do szkolnego zespołu monitorującego od grudnia nie najłatwiejszy los ptaków w mieście. Ten zespół realizuje obecnie zadania aktywnej ochrony przyrody.

Inspektor Justyna Olszewska z Wydziału Gospodarki Komunalnej i Ochrony Środowiska Urzędu Miasta, wprawdzie zbudowana tym przykładem, ogólnie nie kryje zatroskanego sceptycyzmu. – Takich szkolnych zespołów monitorujących sytuację ptaków w mieście, szczególnie tych zajmujących się blokowiskami i parkami, nie mamy, niestety, wiele. Powiem szczerze, że jest ich o wiele za mało. Tymczasem praca w takim zespole to doskonała lekcja przyrody.

Ta ocena znajduje również potwierdzenie w oficjalnym sprawozdaniu znakomitego znawcy bydgoskiej ornitofauny, pracownika naukowego Katedry Zoologii Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego, dr. Piotra Indykiewicza, który zachęca nauczycieli biologii do jak najczęstszego odbywania takich właśnie przyrodniczych lekcji. Sporządził on również dokumentację ornitologiczną ilustrującą stosunek poszczególnych spółdzielni mieszkaniowych do kwestii zimowej ochrony ptaków. Na tej liście plusów można wy-

różnić tylko niektóre, na pewno „Jedność” i spółdzielnię „Zjednoczeni”.

– Troszczymy się o sztuczne miejsca lęgowe w blokach dla jerzyków, kawek, gołębi i pustulek, które najczęściej zimą gniazdują w naszych domach, ponieważ brakuje naturalnych punktów do ich zakładania – zapewnia Arek Brzozowski z administracji „Zjednoczonych”. – Otwory stropodachowe, przewody wentylacyjne i kominowe pozostają otwarte i dostępne dla tego ptactwa. Pod tym kątem przyglądamy się też obecnie licznym ekipom, które ocieplają nasze budynki.

Nie wszędzie bywają respektowane te bardzo przecież elementarne wymagania. Pomoc młodzieżowego monitoringu w tym zakresie byłaby nieoceaniona. Dokumentacja dr. Indykiewicza wskazuje bowiem na zaniedbania, które, przynajmniej w sporej części, można by łatwo i szybko usunąć. Jak to ro-

bią w zespole monitorującym w Liceum Ogólnokształcącym nr 7?

– Sprawdzamy, gdzie są budki lęgowe, na jakiej wysokości oraz jak często i o jakich porach wlatują tam ptaki – relacjonuje Gosia. Notują te obserwacje, czasami fotografują budki i ptaki. I uwaga niezwykle zasadnicza – młodzież członkowie zespołu monitorującego nie działają tylko w ramach swoich szkolnych zajęć. – Przyjaciółmi przyrody są w każdym miejscu, w każdym momencie – podkreśla zdecydowanie Iwona Załęska. Na spacerze z psem, podczas zabawy i w drodze na zakupy, w każdej sytuacji i każdym miejscu można czynić obserwacje budek lęgowych i sztucznych miejsc gniazdowania w blokach, które, fachowo odnotowane, okażą się potem ekologom niezmiernie przydatne. Dlatego jest ogromnie ważne, by w szkołach takich zespołów powstawało jak najwięcej.

Efektom w ten sposób prowadzonego monitoringu ma być realizacja kolejnego ambitnego zamysłu miłośników przyrody z Urzędu Miasta Bydgoszczy, którzy w najczęściej odwiedzanych budkach lęgowych, na podstawie uczniowskiej dokumentacji, zamierzają zainstalować kamery dla pełniejszej obserwacji życia ptaków.

Pokarm w budkach lęgowych zapewniają odpowiednie służby ochrony środowiska, które wiedzą najlepiej, co smakuje ptakom małym i co tym nieco większym. Bo tu, jak wszędzie, rozmiar decyduje o specyfice menu. Dokarmiać należy tylko od mrozów do ich ustąpienia. W żadnym wypadku nie należy karmić piskląt, które potrzebują w tym okresie wyłącznie wysokobiałkowego pokarmu owadziwego. Cechuje je także niezwykle wrażliwość na ludzkie bakterie i wirusy. Po prostu wtedy giną. Inspektor Olszewska podaje, że w Bydgoszczy przyjęto termin końcowy dokarmiania na koniec lutego. – A z pisklętami to nie jest problem – uspokaja – ponieważ budki lęgowe montuje się wysoko, do sześciu metrów, by nawet kijem nie stracił ich jakiś wandal. A także by do ptaków, a zwłaszcza ich piskląt, nie dobrały się agresywne koty.

Na balkonie Gosi od grudnia wisi, kupiony w sklepie ekologicznym, pokarm dla sikorek, mieszanina tłuszczowo-nasienna. Tak powinno być. – Natomiast podsuwane ptakom słoninki wędzone i solone, te resztki dobrze przyprawionego obiadowego jedzenia, ten czerstwy chlebek za oknem, to w istocie szkodzi im jak trucizna – tłumaczy Iwona Załęska. Co więc wyklądać, koniecznie w drobnych kawałkach, na balkonie i parapecie?

Gosia wymienia bez chwili namysłu. – Ziarna zbóż, konopi, dyni, słonecznika, groch, soję, rzepik, siemię lnu, jabłko, marchew, jagody, soczewicę, owoce jarzębiny i aronii. I robić to należy tylko w okresie mrozów, intensywnych opadów śniegu i krótkich dni, bo te czynniki utrudniają ptakom zdobywanie pożywienia. – Wolę siedzieć przy oknie i podziwiać przylatujące na balkon i siadające na parapecie ptaki, niż gapić się w telewizor – dodaje nie bez satysfakcji.

ciąg dalszy na str. 14.



Nad bydgoskim Balatonem.

fol. red.

Rocky

Mój przyjaciel ma na imię Rocky. Jest papugą falistą. Ma błękitny tułów, niczym piękne, bezchmurne niebo, a skrzydła i główka są białe jak puszysty śnieg. Rocky potrafi wypowiedzieć kilka słów. Gdy wchodzę do domu, często słyszę jego powitalny świergot albo zdanie: „Kto to przyszedł?”. To bardzo mądre zwierzę.

Gdy jestem niedaleko jego „mieszkania”, jakby prosi, bym go wypuściła. Otwieram klatkę, a wtedy Rocky wyfruwa z niej i przez chwilę szybuje bez troski po całym pokoju. Uwielbiam widok, gdy jego skrzydła trzepocą w powietrzu, wykonując rozmaite piruety. W końcu ląduje na moim ramieniu i radośnie śpiewa do ucha, czesze moje włosy swoim maleńkim dziobkiem i wesoło mówi: „Rocky, jestem Rocky”.

W takich chwilach czuję przywiązanie do niego. Moje serce napęcza się czułością i rozradowaniem. Głazczę go wtedy delikatnie po piórkach, a on jest wyraźnie zadowolony i przytula maleńką, puszystą główkę do mojego policzka. Kiedy skończy się czas piesszot, za-



bieram się za odrabianie lekcji. Rocky pomaga mi w nich, skacząc po książkach czy siadając na długopisie. Wykonywanie prac domowych bez jego obecności jest dłuższe i bardziej pracochłonne, bo on daje mi niespotykaną energię ułatwiającą różne czynności.

Cokolwiek robię, Rocky chciałby zawsze być ze mną. Kiedy piję herbatę, również chce jej posmakować, wkładając swój figlarny dziobek do wnętrza kubka. Jeśli oglądam album, Rocky także przyfrunie i zacznie oglądać fotografie na swój oryginalny sposób: podskakując i dotykając ich. Często „zwiedza” cały dom na moim ramieniu. Jest bardzo ciekawski. Musi wszystko dokładnie obejrzeć. Mogę z nim szczerze porozmawiać o wszystkim. On zawsze odpowie świergotem lub jakimś słowem, które zapamiętał. Potrafi dochować sekretu, nikomu nie ujawni moich zwierzeń. Jeśli tylko usłyszy mój głos, woła mnie, wydając coś w rodzaju głośnego pisku. Natomiast gdy ja wymówię jego imię, w ciągu kilku sekund jest już przy mnie i obdarowuje swoją obecnością. Rocky lubi bawić się wszystkim, co tylko znajdzie się w jego zasięgu. Jego radość sprawia, że na mojej twarzy również pojawia się uśmiech.

Rocky zawsze potrafi mnie rozweselić, gdy jest mi źle. Czuję jego wsparcie każdego dnia. Wiem, że możemy na sobie polegać. Pomimo tego iż nie jest człowiekiem, świetnie go rozumiem, tak jak on rozumie mnie.

Natalia Lorek I. 15

Na zdj. Rocky i ja.

Zrozumieć przyrodę

Zeby zrozumieć przyrodę, pojąć jej subtelne wnętrza, wrażliwe na bezceremonialną, niekiedy brutalną ingerencję współczesnej cywilizacji – trzeba mieć w sobie przyjazną czułość. Wyniesioną z kultury rodzinnego domu, ze szkolnej ławy, uniwersyteckich wykładów albo najwyczajniej – z dorosłości potrzebującej towarzysztwa zielonego świata. Ale najpierw trzeba być dzieckiem z zadziwieniem – początkiem wszystkiego. Z jego wielkim zapalem do niesienia pomocy każdemu, kto o to prosi.

A przyroda wciąż prosi. I to właśnie dzieci najchętniej jej prośby spełniają. Już przedszkolaki potrafią z niejednym problemem ekologicznym dać sobie radę. Wiedzą już, jak segregować odpady – gdzie wrzucić papier, plastikową butelkę, szkło, baterie. Potrafią pilnować rodzica, by nie parkował samochodu na trawniku, nie mył go w jeziorze... I tak można by mnożyć. To efekt edukacji proekologicznej zapropionowanej malcom w światłych przedszkolach. Dzieci są bardzo drobiazgowi i – jak zauważył jeden z „nieuporządkowanych” ekologicznie ojców – „wyjątkowo namolne”. Ta drobiazgowość i „namolność” stanowi ogromny potencjał dla przyszłości. Podwiatrowa „**Ekologia bez granic**” ten potencjał od lat szczególnie eksponuje i będzie to robić nadal.

Gdyby zebrać wszystkie mądrości narodów świata odnoszące się do przyrody – mielibyśmy wielką księgę mądrości ratującą przed wyginięciem tysiące gatunków zwierząt, roślin i hektarów lasów. Niestety, takiej księgi nie ma. Można jednak wykorzystać uniwersalną mądrość staropolskiego porzekadła „Czym skorupka za młodu nasiąknie...” i mieć z niej ewidentną korzyść. W ekologii objawia się ona przyjaznym stosunkiem dziecka do drzewa w lesie, wody w rzece, ptasiego gniazda, ulicznego kwiatnika czy psa.

W bydgoskim Przedszkolu nr 70 „**Stokrotka**” działania kilkudziesięciu energicznych malców pod kierunkiem nauczycielek – przedszkolank robią furo-

zę. „Chrońmy przyrodę”, „Mama, tata, siostra, brat i ja z ekologią za pan brat”, „Kocham las i wodę, więc szanuję przyrodę”, „Przyroda na wagę złota” – to nazwy tylko kilku konkursów, w których malcy z rozmachem biorą udział. I rozumieją, dlaczego to robią.

„Stokrotka” nie jest ewenementem. Bydgoskie Niepubliczne Przedszkole „**Promyczek**” to kolejna ilustracja eksponowanej na naszych łamach tendencji uczenia szacunku do przyrody od wczesnego dzieciństwa. W „Promyczku” ta filozofia zapisana jest w bogatej treści Kodeksu Małego Ekologa wiszącego na ścianie sali przedszkolnej. Celem najważniejszym przedszkolnej edukacji ekologicznej jest inspirowanie dzieci, żeby jak najczęściej chciały samorzutnie i skutecznie naprawiać to, co psują dorośli. Mali mieszkańcy „Promyczka” są na tej drodze bardzo aktywni. Dlatego w ubiegłym roku przyznano im przedszkolu Certyfikat Lokalnego Centrum Aktywności Ekologicznej nadany przez Fundację Partnerstwo dla Środowiska pod wysokim patronatem ministrów: środowiska i edukacji narodowej.

W bydgoskim Przedszkolu nr 66 ekologia stała się pasją przedszkolaków. I pasją ich nauczycielek. Mnóstwo nagród, śmiałych inicjatyw, rozmach dziecięcej rezolucyjności w ochronie środowiska naturalnego. Na przedszkolnych inicjatywach uczą się nie tylko dzieci. One w zakresie ekologii mogą już dawać lekcje swoim... rodzicom. Ci z kolei chwalą sobie współpracę z przedszkolem i angażują się wspólnie ze swoimi pociechami w misję obrony przyrody.

W Szkole Podstawowej nr 13 w Toruniu rozumienie przyrody ma już wyższy wymiar, międzynarodowy. Dzięki projektowi „**Comenius**” przygoda edukacyjna odbywa się w towarzystwie uczniów z innych krajów europejskich. W doborowym gronie uświadamia uczestnikom projektu uniwersalizm troski o przyrodę. Co toruńskim uczniom daje przyjaźń z zagranicznymi kolegami? Pozwala wymienić doświadczenia zarówno między pedagoga-

mi, jak i uczniami. Umacnia więzi kulturowe, uczy integracji i otwartości na inne narody. Mobilizuje do energicznych starań o ekologiczne losy świata, bo przecież to młodzież jest jego solą.



Później można zmierzyć się ze społeczną akcją znajdowania dla przyrody miejsca na miejskim osiedlu. **Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 1 im. Jana Heweliusza** w Grudziądzu za ten pomysł i wiele innych zdobył ZIELONY CERTYFIKAT I stopnia. Sposób, w jaki go uzyskał, spopularyzowało nasze czasopismo. Proces certyfikacji był długi i wymagał olbrzymiego nakładu pracy, a szczególnie dużego wysiłku do zrealizowania wybranego przedsięwzięcia. W przypadku grudziądzkiej szkoły zostało ono objęte hasłem „**Tworzymy ptasie kącki na terenie szkoły i osiedla Mniszek**”. Ptasie kącki to miejsca przeznaczone do lęgów oraz schronienia w okresie jesienno-zimowym.

Zajmowanie się urządzeniem Kącków sprawiło uczniom mnóstwo radości. A poprzez wszelkie prace towarzyszące

temu przedsięwzięciu pozwoliło dostrzec w pełniejszym stopniu potrzeby swojego środowiska lokalnego. Zaangażować się w kształtowanie jego wizerunku. Uświadomić sobie, jak wielki wpływ na otoczenie mają oni sami.

Choć moda na ekologię trwa od dawna, ogólna wiedza, jak dbać o drzewo, wodę, ptaki i powietrze, nie jest wystarczająca. Wiedza o szkodzie wyrządzonej naturze przez tysiące ton śmieci – mizerna. Zaleta segregacji odpadów – akceptowana tylko tu i ówdzie. Dopiero teraz różnie pokole-

nie o tę wiedzę bogatsze. Dumne, że ją posiada. Sęk w tym, by w szkole podstawowej, w gimnazjum, w liceach i technicach nie straciło zapału, nie „wystudziło się” z temperamentu proekologicznego.

Potrzebny jest do tego atrakcyjny, spójny z każdym progiem nauki, system edukacji przyrodniczej. I więcej niż garstka dorosłych pasjonatów. Takiego systemu nie widać, a pasjonaci uwikłani w meandry rzeczywistości – również szkolnej – słabną w entuzjazmie. Czas ucieka – przyroda groźnie buntuje się. Obyśmy nie byli mądrzy po szkodzie. Bo tej szkody nie da się naprawić.

Redakcja

fol. Janusz Michalski

Witryna Literacka



Sensacje wydawnicze ostatnich lat w Polsce to nie beletrystyka, nie horror czy fantastyka, lecz dzienniki i pamiętniki. Diariusze i zapiski dzienne lub prowadzone z perspektywy minionego czasu dnie i pamięci Dąbrowskiej, Lechonia, Iwaszkiewicza, a wcześniej Kisielewskiego, Szpilmana oraz wielu innych wybitnych postaci naszej kultury są czytelnymi hitami. Po opublikowaniu tomu

Dnie i pamięci, czyli o słowach prawdomównych

Dąbrowskiej zaskoczony i zafascynowany recenzent czołowego pisma literackiego określił ją jako Wallenroda w spódnicy. To jedyne książki, które obecnie znikają z półek tego samego dnia, w którym dostarczone je do księgarń.

Co decyduje o ich popularności? Na pewno czytelnicza chęć dokładniejszego poznania osób obdarzonych autorytetem i uznaniem, czyli nadawców tekstów oraz chęć poznania rzeczywistości, wprawdzie już minionej kalendarzowo, ale bynajmniej nie dalekiej od nas mentalnie. Dzienniki i pamiętniki dają obraz wydarzeń widzianych od strony indywidualnego człowieka, który je przeżył i ich doświadczył. Socjologzy nazywają je słowami prawdomównymi. Jasne, że są to zapiski subiektywne i w tym właśnie tkwi ich moc. Ten subiektywny zapis, paradoksalnie, daje odbiorcy niepospolite możliwości wyciągania obiektywnych wniosków, samodzielnych, niezależnych od punktu widzenia lubianych znajomych, szanowanych przełożonych, kochanej rodziny, mediów czy nawet duchowego przewodnika.

I jest jeszcze jedna przedziwna, magiczna moc literatury wspomnieniowej. Wiadomo, żyjemy po śmierci tak długo, póki nie umrze ostatni człowiek, co nas żywym pamięta. I choć nie ma już tych, co nas żywymi pamiętali, wciąż jednak pomnażają się ci, którzy pamiętają nas poprzez dzienniki i pamiętniki, pamiętają nas prawdziwymi.

Zygfryd Szukaj

Monika Kornaś I. 18

* * *

*Jak Laura i Filon pod dumnym jaworem
Siedziałam dziś z Tobą na skraju lasu
Zachwycaliśmy się pięknym wieczorem
Nieważny był dla nas upływ czasu*

*Niedaleko gdzieś pluskała rzeka
A my trwaliśmy w milczeniu
Nic nas już dziś innego nie czeka
Niż chwila oddana marzeniu*

*Nad nami piękne, tucholskie drzewa
Dąb, osika, olcha, topola
Gdzieś w górze słowik uroczo śpiewa
A za lasem uśpiona Tuchola*

*A gdy słońce zaszło za wzgórze
Noc ciemna nastąpiła
Strwożona spojrzałam ku górze
Jakbym pomocy szukała*

*Ułożyliśmy się pod naszym drzewem
W trawie świeżej, pachnącej
I usnęliśmy kołysani do snu leśnym
śpiewem
Czekając aż znów wstanie słońce.*

Amelia Bogdańska I. 18

* * *

*najpierw musisz przejść
przez te wszystkie
nieistotne wymysły
nazwane obowiązkiem*

*będziesz korzystać przy tym
z zegarka
i może jeszcze
z kilku innych
zbędnych przedmiotów
których znaczenia nie rozumiem*

*a potem przyjdiesz
usiądziesz przy stole
i zatracimy się
w znaczonej
gestem chlebem harmonią*

*najwykleszej
ludzkiej
miłości*



Powietrze w rodzinnym domu Samuela było ciężkie i duszne. Najlejszy powiew wiatru nie mącił spokoju zalegającego w budynku, nawet mimo otwartych na oścież okien. Podwórce oraz cała okolica również były martwe, bez jakiegokolwiek śladu życia, oprócz czarnego jak smoła kota, który siedział na gałęzi drzewa. Kot wpatrywał się w okno jednego pokoju, leniwie przekrzywiając głowę. Jak na miasto był to stan zupełnie nienaturalny. Zważając jednak na suszę, trudno się dziwić nawet miejscowym hulakom, że nie chcieli im się wyjść tej nocy z domu.

Siedmioro domowników ciężko oddychało przez sen, próbując z każdym oddechem zaczerpnąć drogiego tlenku z przesuszonego powietrza. Mieszkali w tym domu już od kilku dziesięcioleci i praktycznie zrosli się już z tym miejscem i krajem.

Nagle powietrze, gęste jak śmietana, zostało brutalnie rozdarte przez przesywający krzyk. Kiedy ucichł, po kilku sekundach dało się słyszeć już cichsze, lecz wystarczająco głośne krzyki, aby mogli je usłyszeć sąsiedzi. Kobiety głos dumnie odmawiał „czegoś”.

– Nic ci nie powiem! Nic ze mnie nie wyciągniesz, prędzej zginę... Nie! – ten hałas nie mógł pozostać obojętnym domownikiem, w mieszkaniu powstał popłoch, mimo że rodzina była przyzwyczajona do tego typu incydentów. Dzieci zaczęły płakać, dorośli czym prędzej zerwali się z łóżka i pobiegli do źródła hałasu. Samuel, głowa domu, pierwszy wbiegł do pokoju swej starej matki. Wprawdzie domyślał się

powodu tych krzyków i szczerze wątpił w to, aby w jej sypialni znajdował się ktoś obcy, skłonny zaatakować, ale nigdy nie pozwoliłby, aby jego żona, Estera, weszła do pokoju pierwsza, choć widać było, że ma na to ochotę. Odsunął ją zdecydowanym ruchem i szybko, dynamicznie otworzył drzwi.

Krzyk

To, co ujrział, nie zdziwiło go, raczej jak zwykle – zasmuciło. Na podłodze w skromnym pokoju leżała jego siedemdziesięcioletnia matka. Była bardzo blada i przerażona. Jej stare, pokryte żyłami ręce spoczywały wzdłuż ciała. Dłonie zacisnęła w pięści, coś bełkotała, trochę się szarpała, od czasu do czasu przerywając krzyki spazmatycznym: „Nie! Nie powiem ci!”. Estera również nie była tą sytuacją zaskoczona, gdyż powtarzała się ona już nieraz, a ostatnio coraz częściej. Natychmiast upadła na ziemię obok swojej teściowej, próbując ją obudzić.

Okazało się to trudne do wykonania. Starsza kobieta pomimo potrzęsań synowej, głośniejszych prób nawiązania kontaktu i delikatnych poklepywań po twarzy, nie odzyskała świadomości. Zdawała się być przytomna, bo jej otwarte oczy wodziły po ścianach, suficie i zebranych

przy niej osobach. Niestety, nie miała żadnego kontaktu z rzeczywistością. Wreszcie Samuel nie wytrzymał tych chwil przedłużających się w nieskończoność i wyszedł do kuchni po odrobinę wody. Kiedy wrócił, okazało się, że nie się pełną miskę. Dla pewności i świętego spokoju uchwycił w dłoń trochę letniej wody i chlusnął w twarz swojej matce, lecz nie przyniosło to żadnego skutku. Po chwili ponowił próbę, a gdy i to nie pomogło, z pewnym ociąganiem chwycił miskę w dłoń i wylał wodę na staruszkę. Efekt mógł być tylko jeden: kobieta momentalnie rozluźniła się i przestała krzyczeć. Rozluźniła także dłoń. Popatrzyła otępiąłym wzrokiem na Samuela i Esterę i nic nie powiedziała. Pewne było, że nic nie powie, ponieważ po śmierci męża przestała mówić.

Niektórzy dopatrywali się związku tego wydarzenia z nocnymi napadami, ale teraz raczej nikt nie mógł tego powiedzieć, skoro jedyny powiernik jej tajemnic – mąż – nie żył. Zaczęła cichutko płakać, powoli wstała, położyła się do łóżka i odwróciła plecami do zebranych, dając im do zrozumienia, że chce, żeby już sobie poszli i pozwolili jej zostać samej. Rodzina, pomimo troski o starowinkę, opuściła pokój z ulgą. Martwili się o nią, ale niemożność udzielenia jej pomocy przerażała ich równie mocno, co stan chorej kobiety. Był środek nocy, ale małżeństwo bynajmniej nie udało się do sypialni, do łóżka. Nogi poniosły ich oboje do kuchni, chociaż tego ze sobą nie uzgadniali. W ciszy usiedli naprzeciwko siebie i jeszcze przez kilka minut żadne z nich się nie odezwało.

– Zrobiliśmy nam herbaty, bo jakoś nie chce mi się spać. Co ty na to? – prze-

wała przedłużającą się ciszę Estera.

– Taaak... myślę, że jeszcze długo dzisiaj nie zasnę. Zrób.

Estera zaczęła krzątać się po kuchni, przygotowując szklanki i gotując wodę. Samuel wpatrywał się w swoje dłonie położone na stole i milczał. Można by powiedzieć, że on również, tak jak jego matka kilkanaście minut temu, stracił kontakt z rzeczywistością, ale zdradzały go oczy. Były wystraszone, zaciekawione i wściekłe zarazem. Kiedy żona przyniosła mu wreszcie herbatę, słowa, które wypowiedział, zabrzmiały bardziej brutalnie, niż można by się spodziewać, brutalniej niż to, co oznaczały. Mówił szybko i bez emocji – tak jakby jednym tchem chciał wyrzucić z siebie wszystko, co miał do powiedzenia, a zaraz potem szybko o tym zapomnieć. Tak, jakby bał się kary, jakby był małym dzieckiem.

– Musimy to zrobić, to jedyne wyjście z naszej sytuacji... tak, wiem, musimy mieć na względzie dobro mojej matki, musimy... ale tak chyba będzie lepiej, zarówno dla niej, jak i dla nas. Wiem, że to złe, ale... ale... chcę tego.

– A więc jesteś zdecydowany, tak? Przemyśl to jeszcze. Może kiedy rano wstaniesz, będziesz myślał zupełnie inaczej... może zmienisz zdanie...

– Nie! To jedyne słuszne wyjście. Od śmierci mojego ojca z matką jest coraz gorzej. Wiem dobrze, że wcześniej też miała takie nocne ataki, ale dopóki ojciec był przy niej, nie były

ciąg dalszy na str. II.

Paweł Cieślarek I. 18

Próg**[wersja miejska, czyli rzecz o Bezimiennym]**

Porą, kiedy latarnie jeszcze nie migocą,
choć po głowie tłucze się myśl, że już by mogły,
bo zdeptany i obrażony Asfalt,
co rankiem twierdził jeszcze, że kroki ludzkie
nie tylko go nie drażnią,
a wręcz przyjemnie pieszcą, zastrajkował
i nie chce już odbijać promieni słonecznych...
...On,
wyrzuciwszy już z siebie wszelkie
żale, złości,
resztki westchnień miłosnych,
usiadł na dachu, wyżej, niż miał odwagę.
Na szczycie cudu kwadratowej architektury.
Rozmyślał zaczął,
nazbyt znowu odrywając się od codzienności.
Wiatr w tym czasie gnał przed sobą
po ścieżkach i chodnikach,
którymi On tyle razy chodził,
jego myśli i wspomnienia
zszyte z kurzem osiedlowych ulic...

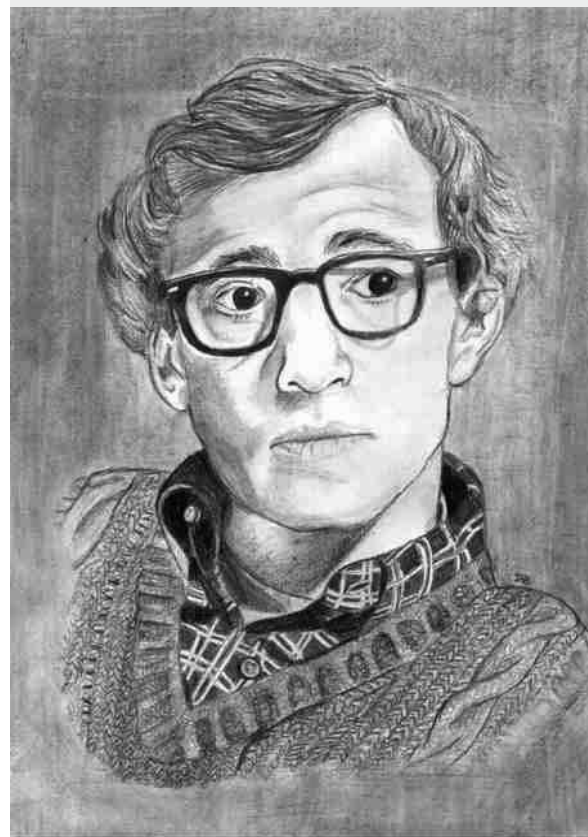
A życie klejem w tubce
zlepiało mu dni i miesiące
i w głowie ciągle mu huczało:
– kto dobry – w błędzie...

– kto pewny – straci...
– kto szuka – zgubi to, co ma...
– kto szczęśliwy – smutny jeszcze będzie...

...
Bilo mu to o podstawę czaszki.
...
W końcu nogi, nogi mu ścierpły,
więc wstać postanowił.
Złośliwy Talerz Satelitarny tylko czekał na to.
Nogę mu podstawił.
I zachwiał się On, i spadł.

Czaszka pękła,
mózg rozlał się przed klatką.
A serce...
(co pomyślał w chwili ostatniej,
że ratować je trzeba,
bo jeszcze przydać się może
i wyrwał je z piersi)
...choć pogruchotane,
zawisło gdzieś na parapecie czwartego piętra.
Ciało tymczasem padło w objęcia
zgrzybliwego Asfaltu,
który objął je czulej niż kochanka.

On...
Choć ciepły był jeszcze
i słyszał ludzi, co zatrzymać się nie mogli,
choć czuł, jak jeszcze boleć go będzie...
Pomyślał:
Wstać trzeba, bo co tak... sam tu będę leżał?

Galeria POD WIATR

Woody Allen

rys. Julia Sobocka I. 17

Krzyk

ciąg dalszy ze str. I.

tak silne i częste, jak to się dzieje teraz, kiedy go zabrakło. Naprawdę nie wiem już, co mamy robić. Gdyby chociaż mogła swobodnie mówić i opowiedzieć nam, co się dzieje, jak możemy jej pomóc – wtedy wszystko byłoby inaczej... a tak? Nie możemy pomóc ani jej, ani sobie.

– Nie pamiętasz, co mówił dr Olander? Że to majaki i halucynacje wywołane stratą męża. Że ubzduriała sobie, że ktoś był za to odpowiedzialny, że ktoś go zabił i że prawdopodobnie ona zdradziła miejsce jego pobytu? A przecież to bzdura. Dobrze wiemy, że mój ojciec umarł ze starości, po prostu przyszedł na niego czas.

– Ale to przecież nie ma sensu. Twoja matka miała te napady wcześniej, i lekarz dobrze o tym wie.

– Ach, nie mnie to mów. Dobrze wiesz, jacy są ludzie jego pokroju. Aroganckie pępki świata, których nie będą poucażać ludzie tacy jak my. Nic na to nie poradzę. Dobrze, nie ma co dłużej dyskutować na ten temat. Chodźmy spać, może uda nam się zasnąć. A jutro załatwię ten problem...

Tymczasem Maria, matka Samuela, leżała w swoim łóżku nad kuchnią, próbując przebić wzrokiem spowijającą wszystko ciemność. Ona również dłu-

go jeszcze tej nocy nie mogła zasnąć, rozmyślając nad niedawnym zajściem. Co się ze mną dzieje? Dlaczego moje ataki są tak częste? Nie powtarzały się przecież przez tak długi czas... aż do śmierci Jakuba. Boże, jak mi go brak. I jeszcze ta niemożność mówienia, a tak chciałam opowiedzieć moim dzieciom, co się dzieje. Gdyby mogli wiedzieć to, co ja wiem...

...Podwórce oraz cała okolica również były zupełnie martwe, bez jakiegokolwiek śladu życia, oprócz czarnego kota, który siedział na gałęzi drzewa. Kot wpatrywał się w okno jednego z pokoi, leniwie przekrzywiając głowę. Zwierzę wpatrywało się w siwą kobietę leżącą na łóżku. Przewracała się wciąż z boku na bok, była cała mokra od potu, a jej twarz co chwilę wykrzywiały okropne grymasy twarzy. Bez wątpienia śni jej się coś strasznego. Coś, co na pewno sprawia jej wielki ból. Gdybyśmy tylko mogli zająrzeć do jej głowy. Gdybyśmy mogli... Możemy.

Maria siedzi na krześle w małym, ciemnym pokoju. Ściany są obskurne, bardzo podrapane. Miejscami ściana pokryta jest pleśnią, z kolei w innej jej części wnikliwy obserwator dostrzeże nieudolnie zmyte plamy krwi. Żarówka zawieszona nad głową młodej dziewczyny na długim kablu była jedynym, choć nikłym źródłem światła. Kobieta ma ręce i nogi spięte szerokimi pasami tak, że nie może wykonać najmniejszego ruchu. Pod ścianą ustawione są podłużne stoły. Na nich znajdują się najprzeróżniejsze narzędzia i sprzęty, o których zwykli ludzie nie mają najmniejszego pojęcia. Jednak człowiek odrobinę zainteresowany z historią, a dokładniej z metodami pracy średniowiecznej inkwizycji, szybko zorientowałby się, że są to po prostu narzędzia tortur. Maria też już dosko-

nale zdawała sobie sprawę z przeznaczenia całego tego żelastwa, czego dowodem były liczne rany i drobne, wydawałoby się niegroźne, blizny na nogach i rękach. Wiedziała, że gdy tylko otworzą się drzwi za jej plecami i usłyszy charakterystyczne stukanie wojskowych butów o posadzkę, jej ból rozpocznie się od nowa. Ale wiedziała również, że nie może ulec jego naciskom, bez względu na to, jak wymyślnym i okrutnym torturom podda ją tym razem. Była świadoma tego, iż jest potrzebna temu okropnie wyglądającemu niemieckiemu oficerowi o nazwisku von Drumer. Ale z drugiej strony – odmowa współpracy mogła kosztować ją cierpliwość Drumera, a bez tego jego następna wizyta może zakończyć się o wiele boleśniej niż zwykle. Musiała uważać, w jaki sposób będzie się do niego odzywać... ale on sam prosi się o to, żeby gwałtownie zareagować.

Nagle drzwi powoli otworzyły się, wydobywając z siebie przeciągły zgrzyt. Widocznie osoba, która je otworzyła, nie spieszyła się z wejściem. Maria przez chwilę miała nadzieję, że to człowiek, który ją karmi. Wprawdzie rzadko to robił, ale nadzieja zawsze w człowieku kołacze. Ta nadzieja była płonna, bo po dość długiej chwili oczekiwania uwięziona usłyszała kroki, których tak się bała. Niemiecki oficer powoli zbliżył się do krzesła, na którym siedziała, stanął za uwięzioną i położył jej obie ręce na ramionach. Następnie przychylił się i wychylił głowę w taki sposób, że dokładnie mógł widzieć twarz kobiety, a ona mogła widzieć jego twarz i z uśmiechem powiedział:

– No witam cię, moja kochana Mario. Dawno się nie widzieliśmy, prawda? Z moich obliczeń wynika – tu spojrzął na okrągły zegarek, niewątpliwie cenną pamiątkę rodzinny – że nie widzieliśmy się już prawie osiem godzin. Nie sądzisz, że to zdecydowanie za długo dla ludzi, którzy darzą się taką sympatią jak my?

– O, to z pewnością zdecydowanie za długa rozłąka, my przecież tak bardzo się lubimy – i mimo przerażenia, na twarzy wykwił jej serdeczny uśmiech, nad którym nie umiała zapanować. Widać było, że buntownicza z niej dziewczyna. Aczkolwiek źle mogło to się dla niej skończyć. – Jednak – powiedziała po dłuższym zastanowieniu – może lepiej byłoby nam trochę od siebie odpocząć. Może spróbujesz gdzieś wyjechać, zobaczyć nowe miejsca i poznać nowych ludzi? Ja chyba nigdzie jednak się stąd nie ruszę. Wiesz, jestem bardzo przywiązana do tego miejsca – i znów uśmiech zagościł na jej twarzy. Oficer nie dał po sobie poznać, że jej słowa mogły w jakiś sposób go dotknąć. Jednak w myślach nie potrafił nadziwić się temu, jak osoba w jej sytuacji może mieć ochotę na żarty.

– Otóż nie, moja kochana, myślę, że powinno być zupełnie inaczej. Porozmawiamy. Gdzie ukrywa się twój ojciec? Tacy jak on nie mają prawa do życia. Tylko bruźdzą w planach III Rzeszy! – Drumer stanął bezpośrednio przed nią i wbił w nią świdrujące spojrzenie. Ton jego głosu przekazywał wiadomość jasnej treści: nie próbuj sobie żartować ani mnie okłamywać. Maria była teraz w bardzo trudnej sytuacji. Nie chciała wydać swojego ojca, a tym bardziej całej rodziny. Z kolei, gdy patrzyła na surową twarz swego prześladowcy, opuszczała ją wszelka ochota na jakikolwiek sprzeciw. Jednak ostatecznie miłość do rodziny wygrała i miała wpływ na podjętą przez nią taktykę. Postanowiła chronić ich mimo wszystko, nawet za cenę życia. Odezwała się cichym głosem:

– Niczego nie dowiesz się ani o moim ojcu, ani o reszcie rodziny. Za bardzo ich kocham. Na pewno ty

Wojciech Szablowski I. 18

Wikariusz

Jest ktoś taki
Kto to kładzie na siebie
Bierze w swoje ręce
Každy grzech
Przebacza
W imieniu
Jest ktoś taki
Kto otwiera w sercu
Drogę
Cel
Prowadzi do
Wiem
Jestem za słaby
Nie daję rady

Wojciech Szablowski I. 18

Ikarze wstań

Ikarze wstań
Pokaż ile jesteś wart
Ikarze wstań
Dedał gdzieś tam na ciebie czeka
Podnieś swoje skrzydła

Jak Syzyf

Wspinałem się pod górę
Lecz
Nigdy nie doszedłem
Może kiedyś
To zrozumieć

Paulina Bohdan I. 18

Utrata

Straciłam kogoś bliskiego
Moje małe serduszek płacze.
Nie może powstrzymać łez.
Cały czas rozmyślam, co zrobić,
Żeby cofnąć czas!
Bardzo kocham tę osobę
I chcę być z nią zawsze.
Odzyskać i już nie puścić.
Codziennie powtarzać, ile dla mnie
znaczy,
Jak bardzo ją kocham.
Budząc się rano, mówiąc:
„Już tęsknię za Tobą”.
Tego pragnę najbardziej na świecie!

Anna Tomaszewska I. 16

Save me

Błagam, ocal mnie,
Od przepaści własnych marzeń...
Które wśród urojonych snów
Pochłaniają moją duszę...
Nie mam już siły,
Żyć normalnie, tak jak dawniej...
Wołę nie budzić się rano,
I trwać dalej w sennych koszmarach...
No cóż...

Czasami lepszych niż moja

rzeczywistość...

Ocal mnie...
Ma delikatna stopa
Chwieje się już na krawędzi...
Zaraz spadnę...
Chwyć mą rękę,
Błagam...
Ratuj...
Nie pozwól...
Bym spadła...

A pomiędzy palcami...

Jedynie pustka...

Alicja Szachta I. 16

* * *

Biegnę przed siebie jak spłoszone
zwierzę...
Uciekam od problemów, ale i tak do
nich wracam...
Chcę się uwolnić od świata,
co ręce mi cierniami oplata...
Pomóż mi Boże – proszę, ręce ku
Tobie wznoszę...
Daj mi tę przyjaźń, która mi w życiu
pomoże!



Wciąż szukam tego miejsca
gdzie spotkam Cię po raz pierwszy,
Wciąż szukam tych błędów, które
zaprzępaściły tę przyjaźń,
Wciąż gubię się w moich myślach,
Kiedyś znajdę Cię i powiem Ci, jak
trudno mi bez Ciebie żyć,
Wiem, Ty masz tak samo...
Ale przecież nigdy Cię nie spotkam...
W moich myślach będziesz zawsze...
To tylko tyle... Dla mnie to jednak
za dużo.

Agata Pabian I. 16

Chleb

Rzucone ziarno na pole,
wzrasta mozolnie,
ale dając stokrotny plon.
Zebrane i zmielone,
gotowe karmić głodnych i sytych.
Żebrak cicho szepnie:
Niech będzie pochwalony
chleb powszedni...
Bogacz krzyknie:
Nie macie innego chleba?
Ofiarowany dar z niebios,
któremu mówię – Dziękuję!
Najcenniejsze dobro ziemi,
które mieszka między nami,
Amen.

mnie nie złamiesz. Nawet przy użyciu – uśmiechnęła się – twoich magicznych środków.

Drumer zamyślił się przez chwilę. Widać było, że ta kobieta jednocześnie wzbudza jego podziw, ale również wielki gniew. Jeszcze nigdy nikt nie przeciwstawiał się jego metodom perswazji. Narzędzia, które leżały na stole, potrafiły motywować jak żadne inne, a ich sekretem było to, że umiały zadawać bardzo małe rany, dzięki czemu „pacjent” pozostawał przy życiu przez bardzo długi czas. Natomiast ból, który zadawały, nieraz już doprowadzał do obłądzenia. Niemiecki oficer postanowił jednak wstrzymać się jeszcze z jego zastosowaniem.

Drumer przerwał długą zadumę i odezwał się powoli:

– Mario, dobrze wiesz, że twój opór nie ma najmniejszego sensu, prędzej czy później, pod wpływem usilnych starań moich ludzi, wyjawisz mi kryjówkę twojej rodziny. Pomyśl sobie o bólu, który cię czeka. Nie warto go przechodzić na darmo. Zastanów się nad swoim położeniem.

– Wytrzymam tak długo, jak to będzie konieczne. Nie jesteś w stanie złamać mojego oporu. Tacy jak wy uważają, że każdego człowieka można albo kupić, albo przestraszyć. Otóż, mylicie się, bo mnie nie można ani kupić, ani przestraszyć. I udowodnię wam to w tym pomieszczeniu.

– To przeniesiemy cię do innego – tym razem ironiczny uśmiech zagrościł na twarzy mężczyzny – i wtedy zobaczysz, jak naprawdę łamiemy ludzki opór.

– Mój ojciec na pewno już niedługo zorganizuje dla mnie jakiś ratunek. Jestem tego pewna. Nie zostawi mnie przecież samej, a dla niego taka akcja to nic wielkiego. Jeszcze zejdziesz ci

ten uśmiech z twarzy, i to szybciej, niż myślisz.

– Ty głupia Żydówko! – wykrzyknął – twój ojciec nie może ryzykować pojmania kolejnych ludzi, bo wtedy naprawdę uda nam się kogoś złamać. A tego naprawdę on nie chce. Cóż wtedy poczną wszyscy Żydzi chętni do walki? Kto będzie ich przywódcą? Mylisz się – nikt ci nie pomoże. Jesteś zdana tylko na siebie... i na mnie, choć nie chcesz się z tym pogodzić. Nikt już się tobą nie martwi! Wszyscy spisali cię na straty jako ofiarę w słusznym celu! – ostatnie słowa boleśnie uderzyły ją w twarz, jak gdyby otrzymała uderzenie z otwartej dłoni. Dumnie podniosła głowę i powiedziała głośno:

– Możesz zrobić ze mną, co tylko chcesz. Możesz użyć na mnie tych wszystkich – jej głos stawał się coraz głośniejszy – swoich chorych zabawek. Ufam mojej rodzinie i wiem, że się nie zawiodę! Nigdy mnie nie złamiesz! – ostatnie zdanie zostało wykrzykane wprost w twarz oficera, który poczerwieniał ze złości:

– Jeśli tego chcesz, to dostaniesz! Oficer szybko opuścił pomieszczenie, ale tym razem słycać było, że jest ogromnie wzburzony, bo dźwięk jego kroków już nie był tak charakterystyczny jak podczas wejścia. Słycać było kilka wydanych w pośpiechu rozkazów w języku niemieckim. Po chwili weszło do sali dwóch mężczyzn, których Maria знаła już z poprzednich wizyt. Byli wyjątkowo beztalcy i nie znali litości. Nieśli ze sobą urządzenie do zapisu głosu. Wiedziała już, że dziś znowu przyjdzie jej cierpieć. Po długiej chwili pełnej stukotu metalowych przedmiotów, ściszonej rozmowy zaczęło się dziać naprawdę wiele. A zdradziły to krzyki: „Nic ci nie powiem! Nic ze mnie nie wyciągniesz, prędzej zginę eeeeeaaaa. Nie!”.

Chyba wiemy już wystarczająco dużo. Nazajutrz w domu Samuela panowała atmosfera pogrzebu. Wszyscy zach-

wywali się tak, aby nie denerwować Marii, nie zakłócać jej ostatnich chwil w domu i nie pozwolić jej domyślić się, że czeka ją coś strasznego. Gdy nadszedł wieczór, pod dom zajechał biały samochód szpitala psychiatrycznego. Szpital ten miał złą opinię. Trudno więc dziwić się, że wczorajszej nocy Samuel uważał umieszczenie w nim swojej matki za coś niezmiernie złego, coś na równi z zabójstwem, ale był na tyle zdesperowany, że zgodził się ją tam umieścić. Samuel wytłumaczył swojej matce, gdzie wyjeżdża, że w szpitalu będzie jej na pewno lepiej. Zapewnił ją, że wszyscy bardzo ją kochają. Rodzina zaczęła się z nią żegnać wśród potoku łez, ona opuściła głowę. Gdy sanitariusze wynosili ją na noszach, nawet nie zapłakała. Miała tylko smutne spojrzenie.

Wieczorem w szpitalu, wiedząc o jej nocnych atakach, sanitariusze przywiązali ją pasami do łóżka. Czuli się podobnie jak wtedy, gdy torturowano ją podczas wojny, ale szybko zwalczyła to uczucie. Przed ciszą nocną usłyszała, że pielęgniarka chodzi po pokojach i sprawdza jeszcze stan pacjentów. Usłyszała przez ścianę jego krzyki i wiedziała, że jest bardzo niemiły. Gdy wszedł do jej pokoju, słyszała dziwnie znajome kroki, ale nie mogła spojrzeć, kto wszedł, bo była przywiązana. Pielęgniarka nachylił się nad nią i wtedy go poznała. Był to człowiek identyczny jak oficer Drumer. Odezwał się do niej z obślizgłym uśmiechem:

– O, nowa pacjentka? Co rodzina cię opuściła? Nikt cię w domu nie chce i wszyscy się od ciebie odwrócili? Witamy.

Ciszę przed snem przerwał tragiczny, długi, pełen smutku krzyk.

Adrian Olesiak I. 19

Agnieszka Szlachcikowska I. 19

Na początku było słowo

rodzimy myśli które giną
bo zapominamy słowa które
przypominają
to takie słowa których brak
to stare słowa które odmładzają
słowa które milcząc mówią
pomyśl jak ciężko powiedzieć
przepraszam kocham dziękuję
ukrywamy się przed nimi ale one i tak
nas demaskują

Patrycja Głowacka I. 19

Niebieskie pomarańcze

Wczoraj znowu ktoś zamydlił
sobie oczy
Niebieskimi pomarańczami

Kupiono je za słowa
I nie chciano sprzedać

Bohaterski czyn – to duma

Nadszedł czas gdy w ośpieniu
Zdrapano fragmenty fresków ze
ścian snów
I nie było już nadziei

Nie było już chętnych na niebieskie
pomarańcze
Chwilowa recesja w moralnej
gospodarce

Idąc boso przez tłące pogorzelnisko
Nigdy nie patrzeć przed siebie

Nieba gwiazdziste nade mną...

Remigiusz Rogożeński I. 15

Miłość...

*Małych serc bicie, szalone to życie
Targani miłością, złączeni przyszłością
I nawet o tym nie wiedzą, że po uszy
w niej siedzą*

*Dwa serca małe, dla siebie są całe
Chcą razem być wiecznie, oddani
wzajemnie serdecznie*

*Ta miłość jest blisko, a w niej liczy
się wszystko*

W niej liczą się piątki, liczą niedziele

*A także świątki. W tych sercach
są duszki*

Małe słodkie jak okruszki

Słodkie z miłości, małe z czułości

Na miłość skazane, kruszyny te małe

Daria Kempa I. 16

V

*Między niebem a ziemią fruważą
anioły,*

białe, skrzydlate istoty.

*Jakby nie mogły wzbić się wyżej,
jakby nie mogły upaść.*

*Zawieszane w świecie, którego
nikt nie zna,*

*otoczone szarą chmurą,
prawie niewidoczne.*

*Nad moim niebem fruważą stada
aniołów*

i tylko ja je zauważam,

tylko ja umiem latać tak jak one

nad zielono – szarym Oceanem Marzeń.



fol. Robert Sawicki



fol. Robert Sawicki

POCZTYLION LITERACKI



wem – sprowadza go... do gleby. A przecież chciałbym się przede wszystkim dowiedzieć nie tylko, co zaszło, ale też kim jest nadawca, kim jest podmiot wiersza, zamiast przysłuchiwać się katalogowi wykroczeń jednostronnie przedstawionych w monologu. Na publikację czeka jeden tekst *Nie jesteś mój*, w redakcji zaś czekamy na nowe wiersze, do obszerniejszego przedstawienia.

Katarzyna B., Bydgoszcz

– *Pseudo super, Kiss buziaczek*, z poezją nieco gorzej. *Walka miłości zbawienia*, ten jedyny poemat, jaki mi przysłałaś, jest bardzo emocjonalny, wręcz wybuchowy w intencjach, ale szkoda wielka, że słowa dobrane dla tych bombowych intencji nie są najodpowiedniejsze. Te słowa, wybac ostrość diagnozy, to niestety nic niemówiące czytelnikowi, zużyte, wtórne językowe kalki. A przecież temat jest Twój. I dlatego domaga się bezwzględnie Twoich słów, a nie cudzych przytoczeń. Wtedy porwie i przemówi. Ponadto, po jednym tekście nie da się powiedzieć więcej. Czekam na obszerniejszy wybór wierszy, bo wszystko mówi, że warto.

Marta L., Nakło

– To musi być coś naprawdę wielkiego, skoro jednej sprawie, jednej osobie poświęciłaś kilkanaście utworów. Emocje, zranione uczucia, lęk, każde słowo koduje takie treści i sytuuje podmiot na obszarze bólu oraz cierpienia. Pogłębia odczucia bogata w wykrzykniki i pytańniki grafia tekstów. Właśnie, ich podmiot nie wypowiada, lecz wykrzykuje pod adresem odbiorcy żale, zgłasza pretensje, sło-

Marek C., Bydgoszcz

– Nie wiem, czy to była świadoma decyzja, czy też kwestia intuicyjna, nie jest to zresztą takie ważne, ale przedstawione teksty kwalifikuję jako poezję esemesową. Trzy wiersze, razem czternaście linijek. I jedna linijka, maksimum dwa słowa. Umiar, oszczędność, rygor językowy chwalił już Arystoteles. W tym Twoim skrócie jednak nie ma miejsca na nieuchwytnie, niewysłowione, tajemnicze, czyli istotę liryki. Tylko konkret. I to może nużyć. Zostawiam do druku *Kroki* i *Odnaleziony* oraz czekam na nowe wiersze.

Karolina G., Koronowo

– Ten świat lasu, rzeki, pól, te szpaki niszczące wiśniowy sad. To robi wrażenie na czytającym. Potrafisz celnie odnaleźć językowe ekwiwalenty dla tych obrazów. Piszesz, że dojeżdżasz do liceum w pobliskiej wsi. Czuję, że strony rodzinne są Tobie bardzo bliskie w zestawieniu z miejskim krajobrazem. Wiersze, które to tak pięknie eksponują: *Kruchy brzeg*, *Drabina na dach*, będą wkrótce publikowane. Z przyjemnością czekam na porcję nowych wierszy.

Zygfryd Szukaj
lystopad@neostrada.pl

Pejzaże życia

Szklany człowiek

„Tę chwilę w pamięci mieć jak zdjęcie...”¹

Błękitne niebo schyla się ku szczytom gór. Z gołymi stopami biegnę po wilgotnej trawie, zaledwie muskając palcami kwiecisty dywan i igram z kolorowymi motylami. Wiatr rozczesuje moje włosy. Ciepłe promyki słońca łaskoczą mnie po policzku. Z lasu wylatują delikatne nuty ptasich koncertów, by za chwilę pięknem swej muzyki ukoić mą duszę. Moja Arkadia. Moja własna kraina, w której czuję się swobodnie...

Lecz pojawia się szarość. Goni mnie czas. Uciekam. Wybiegam z zielonej polany i zamykam magiczne wrota moich snów. Starannie zamykam klódkę, by ciemność nie przykryła moich marzeń...

„Chyba czas już wstać, zamknąć drzwi, zniknąć we mgle...”²

Otwieram oczy. Podnoszę ociężałe powieki i widzę ciemność. W głowie mam szum, słyszę tylko głuchy dźwięk wśród ciszy. To nieznośny intruz, który codziennie dopełniając rytuału, przerywa mi sen. Cóż, takie życie, trzeba wstać. Powoli, jakbym była włożona w sztywny kombinezon, wstaję z łóżka i rozprostowuję poszczególne kości. Obrazy przed mymi oczyma stopniowo nabierają kształtów. Stolik pod oknem, komoda przy ścia-

nie... W domu panuje cisza. Tylko chomik w klatce oczekuje spotkania ze mną, licząc na obfite śniadanie. Szkoda mi go. Jego życie trwa zaledwie trzy lata, w ciągu których nie robi nic poza kręceniem się na kółku, jedzeniem i spaniem.

Po zapewnieniu mu dziennej porcji pożywienia, podążam po omacku w kierunku łazienki. Zapalam światło. Zaródkowy blask oślepią moje oczy. Odkręcam kurek, nabieram zimnej wody w dłoń i jednym chlustem oblewam całą twarz. Po moim ciele przebiega zimny dreszcz, zabierając ze sobą resztki snu.

Zaczął się dzień. Korektor w kolorze skóry doskonale maskuje mankamenty natury. Warstwa fluidu przykrywa bladą, zmęczoną twarz. Niedoskonała doskonałość. Jak manekin człowieczy, parodia samej siebie, zaczynam dzień...

„Nie mogę zrobić nic. Sterowany jestem wciąż...”³

Rozmazane krople deszczu na szybie, tyse drzewa na tle szarych pól, zmieszane z odbiciem smutnego człowieka (to podobno ja), przemykają mi przed oczami. Tracę kontakt z rzeczywistością. Samotna wśród tylu ludzi milczę, siedząc ze wzrokiem wbitym w przestrzeń za brudną szybą. Wszystko dookoła zdaje się być takie smutne i ponure. Nawet kałużom

na chodniku brakuje koloru, więc tworzą niedbale nędzne odbicia tęczy na swoich błotnych taflach. Zmarznięte do szpiku kości, mokre wróble bezskutecznie próbują zanucić wiosenną melodię zapłakanej wierzbie. Lecz nikt ich nie słyszy.

Kolejna stacja. Tym razem moja.

Wysiadam z autobusu, przepychana przez gromadę podróżnych biczowanych przez bezlitosnego *tempusa*⁴. Wszyscy gdzieś gonią, do czegoś się spieszą... Ja spieszę się powoli. Monotonnia dnia odbiera mi chęci do czegokolwiek. Zbliżam się do szkoły i poprawiam swoją maskę. Wykrzywiony grymas na twarzy dzielnie grający rolę uśmiechu, lekkim drgnięciem na widok znajomej osoby otwiera kolejną część sztuki pod tytułem „Everything is ok”⁵.

Dzień w dzień ten sam schemat: nudne lekcje, które z przymusu musisz jakoś zaliczyć. Przerwy, na których udajesz zainteresowanie życiem towarzyskim koleżanki. Czas płynie tak powoli... Nie powiem przecież, że nie mam ochoty rozmawiać, że nie przygotowałam się na dzisiejszą lekcję, bo zrobiłam sobie dzień dla samej siebie, że pojechałam rowerem na polanę i leżałam do góry brzuchem, leniuchując na kocu i patrząc, jak chmury biegają po niebieskim sklepieniu... Nie wykrzyczę na cały głos swoich żalów, nie rozplaczę się na środku korytarza, nie będę śmiała się

z niczego. Dlaczego? Bo uznają mnie za idiotkę. Światem rządzą jakieś chore schematy wykluczające potrzeby jednostki. Jesteś dziwny? Jesteś inny? Jesteś sam. Bezduśny reżyser pociąga za nitki swoje kukielki, mówiąc im, jak mają żyć, żeby mieścić się w standardzie...

Ten świat zabija mnie. Nie chcę być przezroczysta jak szyba, która zachowuje w swoim wnętrzu odbicie zwykłej, szarej rzeczywistości. Jestem szklany człowiekiem i gdy patrzę na otaczający mnie świat, coś we mnie pęka, a szkielek moich marzeń ranią mi serce. I tak po każdym dniu noszę nową bliznę... Teraz wiem, skąd biorą się zmarszczki. To nie wiek, lecz emocje, nieszczęścia, ból... Idę ulicą i mijam starość – wrak młodości, ostatki życia, ostatnie tchnienia, smutne, sine twarze z grymasem bólu, załamane oczy, osoby ledwo trzymające się o własnych siłach na nogach. Na cóż więc żyć? Lepiej zamknąć oczy, śnić...

„Pokaż mi swoje sny, za którymi tęsknisz ...”⁵

Jest wieczór. Kolejne 86400 sekund mojego życia odeszło w zapomnienie. Leżę w łóżku i czekam na zbawienny sen. Chciałabym móc znów otworzyć magiczne wrota Arkadii, błędzić między marzeniami i okłamywać samą siebie, że życie jest piękne...

Patrycja Szopiera I. 18

¹ Tomek Makowiecki „Ostatnie wspólne zdjęcie”.

² Myslovitz „Sprzedawcy marzeń”.

³ Łac. *tempus, -oris* – czas.

⁴ Ang. *Everything is ok*

– *wszystko jest w porządku.*

⁵ Verba „Czas na sen”.

Zapach dawnych listów

Nie dostałem w życiu ani jednego listu. Były może jakieś pocztówki, jakieś kartki świąteczne czy listy oficjalne, ale nie takie mam teraz na myśli. Nie dostałem w życiu ani jednego listu prywatnego – takiego zwykłego, który pisze się po to, by o czymś komuś opowiedzieć, czymś się z kimś podzielić. W życiu też takiego listu nie napisałem, chyba że liczyć te zmyślone, zadane na język polski. O listy zapytałem ostatnio znajomych. Nie musieli odpowiadać; już samo ich spojrzenie zdawało się mówić: „No co ty, kto dzisiaj pisze listy?”

W dobie komputerów tradycyjne listy stały się chyba przeżytkiem. Powód jest banalny: nie ma na nie czasu. Z e-mailem sprawa wygląda dużo prościej i szybciej. Wystarczy parę uderzeń w klawiaturę, kilka kliknięć myszką. Nie musisz kupować znaczka, koperty, nie musisz szukać skrzynki pocztowej ani starannie pisać, by uniknąć skreśleń. Na e-mail nie czeka się kilka dni, nie wygląda się nerwowo przez okno, by sprawdzić, czy listonosz pojawi się wreszcie na widoku. I wydawać by się mogło, że tak jest lepiej, tak jest wygodniej...

Odwiedziłem niedawno Muzeum Powstania Warszawskiego i natrafiłem tam na wystawę listów, które podczas wojny pisali do siebie warszawiacy. Ich treść była różna: pytania o zdrowie, słowa wsparcia, chaotyczne, nerwowe relacje z tego, co się ostatnio wydarzyło, szczerze wyznania... Wszystkie te listy łączyło jednak jedno – coś niezwykłego było w każdej z tych pożółkłych, nadgryzionych zębem czasu kartek. Co dokładnie? Nie umiem tego określić, nie umiem tego nazwać, mam jednak tę pewność, że nie da się tego znaleźć nawet w najlepiej napisanym e-mailu. Być może chodzi tu o tę cząstkę osobowości, która zawiera się w każdym charakterze pisma. Być może to ten nastrój, który dało się wyczytać nie tylko z treści; ta tęsknota zawarta w kształcie liter, ten pośpiech, zdradzany przez skreślenia i poprawki?

Od twoich listów pachniało w sieni, gdy wracał zdyszany ze szkoły... – pisał blisko sto lat temu Julian Tuwim. Jakiś czas później Czesław Niemen zaśpiewał te strofy tak, że umiem sobie wyobrazić ten zapach – jest w nim nerwowe oczekiwanie, rozdzielanie koperty, kartka papieru podszyta cząstką osobowości, zachłanny wzrok przesuwający się po kolejnych liniijkach tekstu. Czuję w głowie zapach dawnych listów i chyba trochę zazdroszczę tym, którzy mieli okazję poczuć go naprawdę.

Kamil Szczepanik I. 18



fol. Robert Sawicki

Kolej naszych czasów

22 grudnia, południe. Znajduję się na dworcu PKP w Toruniu razem z przyjaciółką. Obie identyfikujemy się ze wszystkimi tymi, którzy pragną na święta wrócić do rodzinnego domu. Jest okropny ścisk, który tworzą podróżni w połączeniu z wielkimi bagażami. Każdy chce udać się w swoją stronę, jednak biorąc pod uwagę punkt wyjścia – wszyscy jesteśmy równi: ruszamy z jednego, zatłoczonego miejsca, jakim jest dworzec kolejowy.

Na zewnątrz jest jakieś minus 12 stopni i to, że jest nas dużo, nie oznacza, że jest nam ciepło. Każdy z osobna pragnie zostać w poczekalni, a ci, którym brakuje powietrza, wychodzą. Przy kasach długie kolejki, poruszają się jak leniwe gąsienice, a w jednej z nich stoimy my. Docieramy do celu bardzo wolno, przesuając butem co jakiś czas nasze torby podróżne. Zarówno za nami,

jak i przed nami westchnienia, jęki i gorzkie słowa niezadowolenia. Kiedy w końcu udaje nam się stanąć przy okienku, zauważamy nieszczęśliwą i złowrogą twarz pani kasjerki. By nie drażnić lwa, miło i z pokorą wypowiadamy nasze życzenia, później pięknie dziękujemy i życzymy wesołych świąt. Najważniejsze, że mamy bilet. Powoli wycofujemy się z kolejki i kucamy na kawałku wolnej przestrzeni. Pociąg mamy za trzydzieści minut, więc tworzymy prowizoryczne siedziska z toreb i czekamy.

Z głośników dobiegają co chwilę komunikaty o spóźnieniach bądź wycofaniach pociągów. Grudziądź nie jedzie, Poznań też nie, Zielona Góra to już w ogóle. Z przerażeniem nasłuchujemy kolejnych wieści z nadzieją, że nie usłyszymy nic złego o Bydgoszczy. Obserwujemy czekających na peronach, jedni przeklinają, drudzy

rzucają torbami, inni jeszcze nie wierzą, że nie jadą. Nasz czas oczekiwania powoli mija, ustawiamy się więc na peronie i wypatrujemy pociągu. Pani z głośnika mówi, że zaraz nadjeżdża, a my czujemy na sobie wzrok tych, którym szczęście nie dopisało. Pociąg, według obietnic, wtacza się na peron. Ładujemy się do środka, jednak zatrzymujemy się w korytarzu, bo brak miejsca.

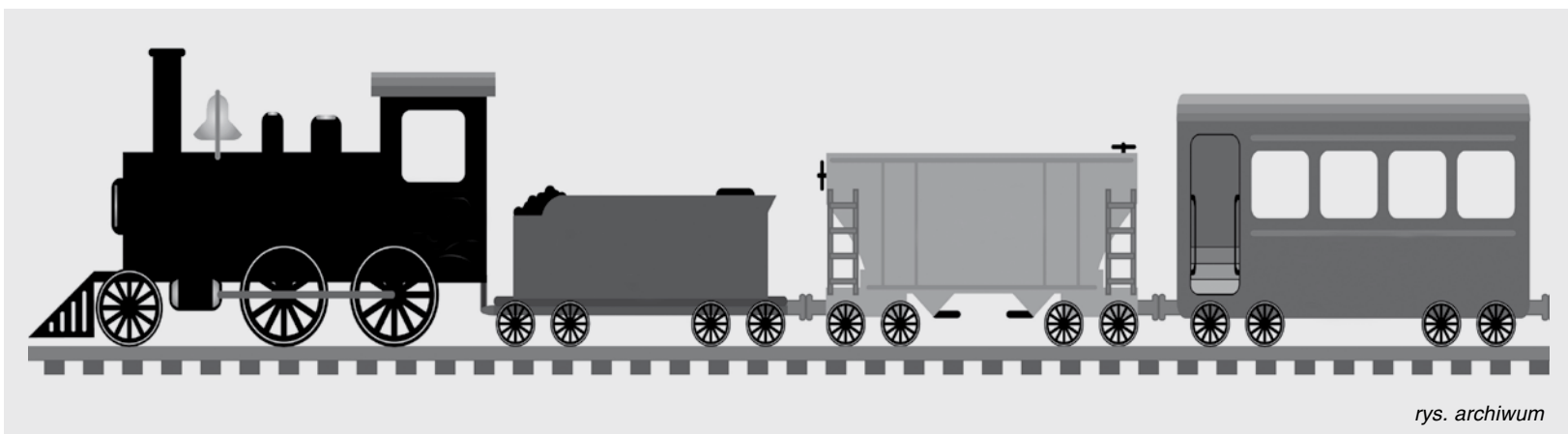
Usadawiam się przy grzejniku – zmarzłam, czekając na pociąg. Początkowo cieszę się, że znajduje się koło mnie źródło ciepła. Chwilę później zmieniam zdanie, gdy urządzenie zaczyna zwyczajnie parzyć. Minuta po minucie ściągam kolejną część ubrania, aż w końcu siedzę w krótkim rękawku. Kiedy pociąg rusza, jest południe. Obliczam sobie w głowie, że przed czternastą powinnam być planowo na miejscu. Niby jadę, jednak

mam wrażenie, że w ogóle się nie przemieszczam. Krajobraz za oknem prze-wija się bardzo powoli, od gorąca lza-wią mi oczy. Ludzie stojący obok do-stają wypieków na twarzach, mężczyź-ni pocą się, kobiety ciężko wzdychają, dzieci chlipią.

Podjęmuję próbę wyjęcia książki z torby, jednak zahaczam łokciem o przedramię starszej pani i czując na sobie jej rozwścieczony wzrok – rezy-gnuję. W końcu udaje mi się przysnąć, a gdy się budzę, jestem mile zaskoczona, bo docieram powoli do celu. Spog-lądam na zegarek – dochodzi szes-nasta, a więc mamy jakieś dwie godzi-ny spóźnienia.

Nasza jakże długo trwająca męczar-nia dobiega końca. Ogarnia mnie po-czucie szczęścia, ostatnio tak dobrze czułam się, kiedy zdałam na prawo jaz-dy. Uwieram się i wychodzę z pociągu podekscytowana, niczym więzień, któ-ry wyszedł na wolność po długiej od-siadce. Cieszę się, że już po wszyst-kim, a zarazem współczuję tym, którzy jadą dalej kolejną naszych czasów...

Marta Sokołowska I. 19



rys. archiwum

Wróciłam do domu około szesnastej. Po wyczerpującym dniu zaparzyłam sobie herbatę, dodałam plasterki cytryny i usiadłam na taborecie przy oknie. To była moja tradycja, kiedy po szkole mogłam odetchnąć i zając moje ulubione krzesło w kuchni, z którego mogłam obserwować ludzi. Byłam reżyserem, a wszyscy przechodzący grali w moim filmie. Dobierałam im cechy, zawody, problemy, pracę i rodzinę. Tworzyłam kolejne wątki, jak w serialach. Uwielbiałam ich obserwować. Jedni biegli na łeb na szyję, drudzy chwiejnym krokiem przemierzali drogę. Na ich twarzach widać było radość, smutek lub zamyślenie.

Często byłam obserwatorką plotkujących sąsiadek, psa, który wyszedł ze swoim panem na spacer, a co jakiś czas widziałam taksówkę, do której wsiadała pani L. z drugiej klatki, by dostać się na dworzec i jechać do Krakowa odwiedzić brata.

Cały blok wie o sobie dużo, zna historię mieszkańców i ich pokrewieństwa. Czasem potrafimy stanąć i porozmawiać ze sobą, popsocić o pogodę, poplotkować „o tym z trzeciego”, ponarżać na politykę. I mimo że czasem wiemy o sobie o wiele za dużo, to tak naprawdę wszyscy jesteśmy koło siebie, a nie dla siebie.

Widok zza firanki

Śnieg sypał i sypał. W drodze do szkoły spotkałam naszą panią sprzątaczkę, której zaspanym głosem powiedziała „dzień dobry!”. Taka pogoda jak dziś musiała być dla niej koszmarem – dziesięć klatek do odśnieżenia, chodnik liczący pięćdziesiąt metrów, a do tego ten padający śnieg, który nie zamierzał przestać sypać. Przeklinając fatalne warunki atmosferyczne, cudem uniknęłam zderzenia z trzema samochodami. Śmiejąc się z własnej niezdarności, pędzę do szkoły już bez żadnych przygód.

Dzień mija szybko. Wracam do domu, wstawiam wodę na herbatę i siadam na krzeselko. Cały parking, chodnik, samochody – wszystko pokryte białym puchem. Trudno się jeździ, jeszcze ciężiej chodzi. Zalewam herbatę, wrzucam cytrynę – to wszystko trwa około dwóch minut. Siadam

przy oknie, odsuwam firankę. I... widzę dwóch sąsiadów z drugiej klatki, którzy wychodzą z łopatami i zaczynają... odśnieżać. Pomocników przybywa. Jest godzina 15.56, a pracujących... dziesięciu. Chwilę później dołącza do nich mój tata. Narzucam na siebie kurtkę, biorę notatnik, długopis i biegnę do dokładnie dwudziestu trzech osób usuwających śnieg i proszę o rozmowę.

Pytam, dlaczego pomagają odśnieżać, skoro ktoś mógłby zrobić to za nich. Pierwszy odpowiada mi pan Krzysztof z trzeciej klatki: „Nie można patrzeć, jak inni męczą się sami z tym wszystkim. Przecież to tak samo chodnik Kowalskiego, Nowaka, Witkowskiego jak i mój. Dlaczego mam czerpać korzyści z ich ciężkiej pracy? Na tym polega pomoc sąsiadzka”.

„Czuję dumę w sercu, gdy na to patrzę. Mimo swoich obowiązków, potrafiliśmy wyjść na mróz i odgarniać łopatą chodnik i parking. Jesteśmy zgranymi mieszkańcami Szwedero-wa. To szczęście, że można liczyć na czyjąś bezinteresowną pomoc” – powiedział pan Edmund z parteru. „Kto w tych czasach o zdrowych zmysłach wyszedłby i odwał robotę za kogoś? My jednak walczyliśmy o nasze wspólne dobro. Mieszkańcy bloku 57! Wykonaliśmy kawał dobrej roboty!” – dodał mój tata.

Zasłużyli na brawa, które teraz rozbrzmiewają przed blokiem przy ulicy Marii Konopnickiej na bydgoskim Szwedero-wie. Pomoc sąsiadzka jest ważna, szczególnie ta bezinteresowna. To cudowne mieć takich sąsiadów, którzy pomogą, porozmawiają, zadbają o lepsze warunki. A kto wie, może kiedyś ktoś z naszego bloku opíše tę historię w książce albo w gazecie? Życie lubi zaskakiwać. A na takie niespodzianki jak dziś warto czekać. To będzie nasza wspólna historia, która pokazuje, że „nigdy nie jesteśmy tak biedni, żeby nie było nas stać na udzielenie pomocy bliźniemu”, jak powiedział kiedyś Mikołaj Gogol.

Malwina Kruś I. 16

Z Bornholmu



Majorka Północy

Godzina 6.00

Zaspana, z torbą w ręce podaję kapitanowi bilet kupiony zaledwie dwa dni temu. Powoli, jak ten wiatr, który próbował obudzić mnie kilka minut wcześniej, udaję się na jeden z trzech pokładów kataramaranu. Póki co, zajęte są tylko pojedyncze miejsca, a delikatna muzyka sączy się z niewidocznych głośników. Siadam przy stoliku obok okna – dopiero za jakieś dwie godziny – na pełnym morzu, mam dowiedzieć się, że nie był to trafny wybór – właśnie tutaj najmocniej kołysze.

Bufet jest jeszcze zamknięty – otwierają go po wypłynięciu z portu, a wokół mnie słyszę coraz więcej różnych języków świata – głównie niemiecki, angielski, gdzieś tam włoski, hiszpański.

Powoli zaczyna kołysać całym statkiem, szorstki głos kapitana wita wszystkich pasażerów, z baru dolatują pierwsze dźwięki tłukącego się talerza. Nawet na odkrytym pokładzie z powodu wyjących silników nie można zaznać chwili ciszy. Dopiero kiedy podchodzę do barierki i przyglądam się znikającemu kołobrzeskemu wybrzeżu, czuję wokół siebie prawdziwe morze.

Godzina 11.00

Nexø jest drugim pod względem wielkości miastem Bornholmu i już od postawienia pierwszego kroku na lądzie urzeka tym, co wyspa ma najpiękniejszego... Wikingów, którzy osiedlili się tutaj jako jedni z pierwszych, na pewno przekonała do siebie dobrą położeniem geograficznym na Bałtyku i dlatego długo broniła się przez oddaniem jej w ręce duńskiego króla.

To, co przykuwa uwagę w pierwszych minutach pobytu, to malownicze, niewysokie domki w XVII-wiecznym stylu. Nigdzie na wyspie, nawet w stolicy Rønne, nie znajdziemy drapaczy chmur czy oszklonych, nowoczesnych budynków.

Wiąjący niemilosiernie wiatr energicznie łopocze w porcie flagami sąsiadują-

cych z wyspą państw. Podkreśla to międzynarodowy charakter Bornholmu, odwiedzanego głównie przez turystów z Polski, Niemiec i Szwecji oddalonych zaledwie o trzydzieści kilometrów. Dzięki niewielkiej powierzchni wyspy (tylko 600 km kw.), można ją zwiedzić w jeden dzień, dlatego wybrałam wycieczkę autokarem, chociaż bardziej aktywnych przekonałyby pewnie kilometry ścieżek rowerowych.

Godzina 13.00

Spacerując po wybrzeżu miasta Gudhjem, nie mogłam doliczyć się wywieszonych przy prywatnych domach flag duńskich i bornholmskich (ta druga ma zielony, a nie biały krzyż, jak ma to miejsce w przypadku państwowej). Piękny zwyczaj, integrujący nielicznych wyspiarzy – mieszka ich tutaj zaledwie czterdzieści dwa tysiące. W wakacje można spotkać tu zdecydowanie więcej turystów, którzy zawsze są miło przyjmowani przez krajowców. Jest to też jedna z cech Duńczyków – mimo stereotypowej oziębłości Skandynawów, w gruncie rzeczy są otwarci i sympatyczni.

Wąska droga prowadząca wokół Bornholmu pozwala mi – chociaż liczni rowerzyści bardzo spowalniają ruch – podziwiać Bałtyk: dzisiaj trochę niespokojny, w ciemnych kolorach, fale odbijają się o puste plaże. Mieszkańcy wyspy grillują w swoich ogródkach albo... jeżdżą na rowerze.

Moją uwagę przyciągają stare, ale zadbane białe wiatraki – od razu na myśl przychodzi mi te, które widziałam w dzieciństwie w bajkach. Cztery skrzydła kręcą się powoli, mają ten sam rytm co wyspa, ale na pewno nie jest on usypiający...

Godzina 15.00

Hammershus to jedne z największych ruin średniowiecznej warowni w tej części Europy. W zamku i jego okolicach przez ponad pięćset lat rozgrywały się najkrwawsze sceny historii wyspy. Zwiedzając ślady

historycznej przeszłości, można doświadczyć niezapomnianej atmosfery tego miejsca. Poznać życie rycerzy, którym przysługiwały trzy litry piwa na dzień, a mimo to domagali się szesnastu (niestety, kroniki nie podają, jak zakończył się protest), niegdysiejsze zabawy i rozrywki – turnieje, obfite (nawet kilkudniowe) uczyty władców, polowania, występy wesołków... Kolejna skomplikowana duńska nazwa (szczególnie dla turysty, który nigdy nie miał nic wspólnego z językami germańskimi) kryje w sobie tajemnicę zaklętą w kamieniach i ceglach ruin. Wiatr przybierający na sile z minuty na minutę próbuje odwrócić uwagę od legend związanych z buntem miejscowej ludności przeciwko szwedzkiemu panowaniu. Buntownicy zdobyli zamek podstępem, wykorzystując mundur zastrzelonego wcześniej kapitana garnizonu szwedzkiego.

Spędzając czas w najdalej wysuniętym na północ skraju wyspy, nie da się nie zauważyć dzieł stworzonych ręką mat-

ki natury. Granitowe klify tuż obok przemieniają się w kamienistą plażę. W głębi łąd rosną hektary lasów, chociaż nie zawsze tak było. Już w późnym średniowieczu osadnicy wykarczowali większość z nich i dopiero zdecydowane działania Królewskiego Nadleśnictwa w XIX wieku przyczyniły się do odbudowy przyrody.

Godzina 17.00

Na dzisiejszej mapie wycieczki pozostał już tylko jeden punkt – kontrowersyjny dla Duńczyków, ale dla turystów z pewnością to duża atrakcja. Na peryferiach Akirkeby, w miejscu uskoku skalnego między Europą Północno-Wschodnią a Środkową, wybudowano Muzeum Natury Bornholmu.

Co w tym kontrowersyjnego? Styl, w jakim muzeum zostało zbudowane, odbiega od tradycyjnej bornholmskiej architektury. Prostokątny budynek, którego ściany otoczone są szarymi kamieniami, kryje w sobie szansę na poznanie z bliska tego zakątka Danii. Jest to podróż w czasie do prekambry, ordowiku i kredy, gdzie można spotkać dinozaury, prawdziwe krokodyle i dotknąć lodowca skandynawskiego. Dzieci mogą odczuć na własnej skórze trzęsienie ziemi, a rodzice – upały ery karbonu. Niecała godzina zwiedzania dostarcza wypoczynku pełnego wiedzy o zamierzchłej przeszłości.

Kiedy wracam do Nexø, z każdej strony kuszą mnie tradycyjne warsztaty rzemiosła artystycznego i wędzarnie ryb z miejscowym przysmakiem – wędzonym śledziem. Niestety, do powrotu na pokład zostało tylko kilka minut, więc nie jestem w stanie spróbować każdej atrakcji Bornholmu. Dzień to zdecydowanie za mało, żeby poznać duńską wyspę na Bałtyku – zwaną Majorką Północną.

Tekst i zdjęcia: Katarzyna Kabat I. 17



Między iluzją a rzeczywistością



Pozornie nic szczególnego. Krzywy żużlowiec namalowany na podłodze, asymetryczne nietoperze i niczym niewyróżniający się fortepian. Jednak to, co na pierwszy rzut oka zniekształcone, widziane pod odpowiednim kątem – staje się przestrzenne. Manfred Stader, jako jeden z nielicznych na świecie, udowodnił, że odległość nie jest miarą oddalenia.

– W moich dziełach najważniejsze jest stworzenie fikcyjnej namacalności – stwierdza, posyłając spojrzenie na kilkumetrową makietę wodospadu – wystarczy zrobić jedno zdjęcie, a można poczuć się jak na krańcu świata.

Uśmiecha się i powraca do swojej pracy. Obserwuję go. Na podłodze w bydgoskim Centrum Handlowym „Rondo” tworzy speedwayową ewolucję, by bydgoszczanie mogli poczuć sportowy dreszczyk emocji poza sezonem. Nie bez powodu wybrał taką tematykę.

– Dowiedziałem się, że to miasto jest mocno związane z „czarnym sportem”. W taki sposób postanowiłem zagrozić Polonię Bydgoszcz do walki o zwycięstwa.

Twórca żużlowca bawiącego się z grawitacją pokazuje, że uliczna awangarda to nauka patrzenia z różnych perspektyw.

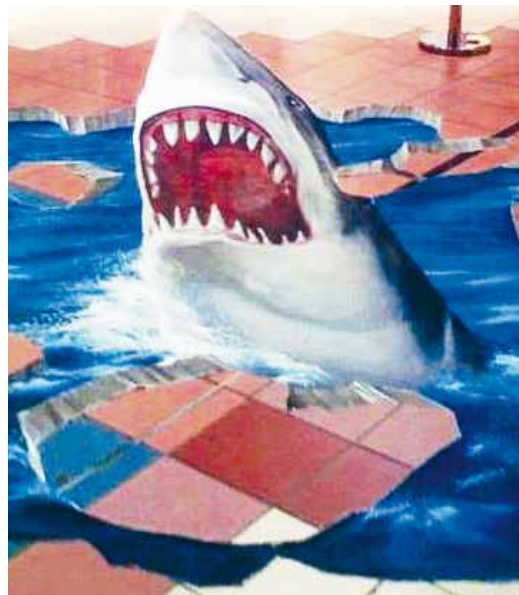
– Trzeba nastawić się na odbiór: wyostrzyć zmysły i włączyć wyobraźnię – przekonuje. Podchodzi do

mężczyzny, który z synem szuka potwierdzenia słów niemieckiego artysty. – Każda forma sztuki jest dobra. Słyszałem, że te prace krążą po całej Europie, a nawet Azji – komentuje, pstrykając zdjęcia profesjonalną lustrzanką – jednak o opinię trzeba zapytać najbardziej zainteresowanego – dodaje, wskazując na chłopca. – Najbardziej podoba mi się hipopotam. Wygląda, jakby chciał mnie zjeść – oświadcza pięcioletni Mateusz.

Dziewiętnastoletni Kuba ma odmienne zdanie: – Przede wszystkim grafika jest słaba, o wiele lepszy efekt trójwymiaru da się osiągnąć w programie komputerowym. Szkoda, że kolory nie są intensywniejsze, ale mój młodszy brat ogląda wszystkie prace z przejęciem.

Chociaż dorośli dość licznie pozują do zdjęć na tle artystycznych wizji Stadera, Street Art największą grupę zwolenników znalazł w gronie młodszych odbiorców.

– Młodzież zna się na technice tej sztuki lepiej niż my – zauważa starsza kobieta trzymająca reklamówki z zakupami – jednak takiej pamiętki sobie nie odmówię – postanawia, szukając odpowiedniego ujęcia dla swojej cyfrowki.



Autor „sztuki ulicznej”, pytany o inspirację, odpowiada, że posłużyły mu do tego początkowe, dwuwymiarowe prace.

– Zapragnąłem jednak zrobić coś więcej. Zatrzeć granicę między iluzją a rzeczywistością. Chciałem stworzyć niecodzienne dzieło, które zainteresuje każdego.

Udało się. Klienci marketu zatrzymują się chociaż na chwilę. Pochylają głowę na różne sposoby, obchodzą dookoła. Robią zdjęcia. Przez moment mogą znajdować się obok groźnego rekina, zasiąść na koncercie fortepianowym lub podziwiać jazdę motocyklisty ze stadionowych trybun.

Uwieczniają wspomnienie na fotografiach, boiem nie mogą go dotknąć. Nie zdołają również malarstwa Stadera zatrzymać na dłużej. Wkrótce żużlowiec zniknie z posadzki handlowego „Ronda”. Pozostanie po nim makietka, która będzie towarzyszyć artyście w kolejnej wyprawie po Polsce razem z plastyczną repliką rekina, wodospadu, fortepianu, nietoperzy, samochodu... Obrazy namalowane w rozmaitych publicznych miejscach Europy i Azji, utrwalone na zdjęciach przez sympatyków Street Artu, zostają bowiem zachowane w archiwum artysty w postaci oszałamiających trójwymiarowości makiet.

Podchodzę bliżej. Pochłaniam wzrokiem realistyczną fikcję. Mimo wszystko pragnę namacalności – ponownie zbliżam się. I patrzę. Znow widać asymetryczne obrazy, które jeszcze chwilę temu udowodniały, że nie ma dla wyobraźni odległości nie do pokonania.

Tekst i zdjęcia: Żaklin Szczypińska I .16

Z „POD WIATR” przez świat

To był maj, jeden z długich weekendów. Jak zawsze w tym czasie wybrałam się z tatą do Niemiec. Tata pracuje często za granicą, jeśli tylko może, zabiera mnie w podróż. Kiedy jechaliśmy do Poznania, aby odbyć lot do Hamburga, tata wspominał, że tym razem spotkanie w placówce rządowej ma dotyczyć różnych aspektów rozwoju studiów i współpracy międzynarodowej między młodzieżą. Nasz samolot leciał już z Helsinek, a na poznańskim lotnisku zatrzymywał się tylko po nowych pasażerów.

Kiedy dostaliśmy się na pokład, tata usiadł koło swojego starszego kolegi, dyplomaty z Rumunii. Jednym z tematów rozmowy stała się polska młodzież. W pewnej chwili Rumun wyjął z torby żółtą gazetę i zaczął opowiadać, że to polska gazeta pisana przez młodzież. Mówił, że jest bardzo chętnie czytana przez polską emigrację w Rumunii, zwłaszcza przez dzieci i młodzież uczącą się w polskich szkołach weekendowych. Moją uwagę przykuła jednak okładka,



była na niej Bydgoszcz. Właśnie wtedy po raz pierwszy spotkałam się z POD WIATR i tak zaczęła się moja przygoda z tym pismem.

Dokładnie miesiąc po tym wydarzeniu gościłam z tatą w polskiej ambasadzie w Berlinie. Jakie było moje zdziwienie,

kiedy do moich rąk trafił nowy numer POD WIATR. Córka jednego z pracowników ambasady, chociaż już pełnoletnia, chwaliła gazetę, opowiadała, że nie ma takiego drugiego wydawnictwa w Polsce. Zwierzyła się też, że pismo czyta od wielu lat. Artykuły, które są tam publikowane, choć pisane przez młodzież i kierowane przede wszystkim do niej, docierają jednak do szerszego grona czytelników.

Podczas drugiej tury ubiegłorocznych wyborów prezydenckich byłam w Chorwacji, w mieście Zadar. Aby rodzice mogli głosować, musieliśmy jechać do Zagrzebia. Polska ambasada znajduje się w kamienicy na obrzeżach miasta. Zdziwiło mnie, że tak wielu Polaków czekało, aby oddać głos. Był to czas wakacji, a oni pokazując patriotyczną postawę, przyjechali z nadmorskich kurortów głosować. Kiedy w poczekalni czekałam na rodziców, podeszła do mnie jedna z pań sekretarek i wręczyła gazetę, chcąc umilić mi lek-

turą czas oczekiwania. Tą gazetą znowu był POD WIATR. Sekretarka powiedziała, że jej młoda polska sąsiadka w weekendy pomaga w polskim przedszkolu i właśnie tam czyta POD WIATR dzieciom, aby poznawały język polski i już teraz mogły wierzyć, że w młodości można wiele osiągnąć.

Te sytuacje dały mi wiele do myślenia. Zainteresowałam się POD WIATR i tym, w jaki sposób jest tworzone. Pod koniec wakacji, korespondując z przyjaciółmi z Libanu, zachęcałam ich, aby poszli do polskiej ambasady w Bejrucie i przeczytali bydgoskie czasopismo. Na odpowiedź nie czekałam długo. Moi znajomi odpisali, że doskonale znają tę gazetę, że ją czytają, bo chcą wiedzieć, co dzieje się w Polsce. I jak na świat, który nas otacza, patrzy młodzież polska. To właśnie wtedy podjęłam decyzję o tym, że spróbuję dostać się na Międzynarodowe Regionalne Warsztaty Dziennikarskie w Bydgoszczy, aby stać się częścią tej społeczności. Społeczności, która może wyrażać w sposób nieskrępowany swoje myśli w artykułach czytanych na całym świecie.

ciąg dalszy na str. 14.

Poskromić bałagan

Wydawać by się mogło, że bałagan to swoisty miernik ludzkiej osobowości. Wyobraź sobie taką sytuację: wchodzisz do domu znajomego, tam zastajesz porzucane ciuchy, brudne naczynia, kurz na meblach i resztki z ostatniej imprezy! Co w takiej sytuacji myślisz? W 99 procentach dochodzisz do wniosku, że z Twojego znajomego niezły bałaganiarz. Ty pewnie nie zrobiłbyś nigdy takiego rozgardiaszu, a już na pewno nie zaprosiłbyś do niego gości. Chcesz być bardziej wartościowy, pragniesz pokazać się od jak najlepszej strony, nie dopuścisz do oglądania swojego mieszkania bądź siebie w złym stanie. W końcu perfekcja to Twoje drugie imię. Przed odwiedzinami czyszysz dom na błysk, każdy zakamarek musi lśnić, przecież goście dopatrzą się każdego za-

niedbania. Mogliby przez przypadek opowiedzieć o tym innym, a to byłby totalny koniec Twojej dobrej reputacji!

Dzięki porządkowi w mieszkaniu Twoje życie wcale nie będzie lepsze i łatwiejsze. Nie irytuje Cię czasami to, że długopisy zawsze muszą być w trzeciej szufladzie, a książki w drugiej, ale broń Boże razem z zeszytami? Właśnie ktoś porzucił wszędzie te idealnie poukładane rzeczy. Cała skrywana prawda o Tobie jest w zasięgu ręki każdego. Wszystkie pozory, które przez tyle lat budowałeś, wyszły na jaw! Nie sądzisz, że Twój bałagan to Ty? Nawet kiedy te wszystkie rzeczy są schowane, nadal o nich myślisz, a niby ich nie widać. Twoją głową mieści miliard razy więcej maksym niż jakiegokolwiek wysypisko śmieci.

Myśli nie można uporządkować, brzmi to absurdalnie, jednak jest cechą pozytywną. Porządek nie sprawi, że poczujesz się lepiej. Powiem więcej – doprowadzi do tego, że będziesz czuł się gorzej. Cały bałagan został poukładany. Większość Twoich planów została sprzątnąta bądź zlikwidowana. Ogarnia Cię pustka. Brak Ci starych śmieci, tęsknisz za wspomnieniami.

Może jednak warto czasem mieć tytułowy bałagan, nie tylko w miejscu, w którym najczęściej spędzasz noc, ale także w sobie. Podobno w modzie teraz artystyczny nieład. Nie warto się oszukiwać. Bezsensem byłoby ukrywać swoją prawdziwą twarz. Okładka to nic ważnego, jej znaczenie bywa często znikome. Twoje pomysły potrzebują się wyszumieć, abyś

nie zapomniał i w przyszłości stwierdził, że były troszkę potrzebne.

Za parę lat otworzysz starą szafę. Znajdziesz tam listy miłosne, żetony do gry i kasety z dzieciństwa. Wspomnisz wtedy problemy, które wówczas Cię dręczyły. Zachce Ci się śmiać, gdyż były bardzo błahe, chciałbyś teraz mieć takie. Niestety, aktualnie masz większe, a pomimo to starasz się radzić sobie z nimi.

Przez znaczną część życia jesteś zagubiony, szukasz swojego celu, a czasami, kiedy wydaje się, że już go masz, okazuje się, że to nie to. Nie poddajesz się. Szukasz dalej. Zmierzasz do skutku. Mętlik w Twojej głowie jest ogromny. Masz jednak nadzieję, że z czasem zaczniesz się sam układać, a wtedy Ty znajdziesz to, do czego dążysz.

Spójrz na chaos – w ten sposób on wyraża Ciebie, to, kim jesteś, kim chcesz być i co kochasz. Rozejrzyj się po swoim pokoju, jeżeli w nim teraz czytasz ten felieton... I co – masz w nim porządek czy może... bałagan?

Jagoda Wilczyńska I. 17



Pokochaj ptasią rodzinę

ciąg dalszy ze str. 8.

Przypomina też głośną onegdaj w Bydgoszczy akcję ratowania zimą przez Straż Miejską łabędzia, któremu po prostu zamarł dziób. Właśnie uczniowie, czujni obserwatorzy przyrody, zauważyli to zdarzenie i poinformowali straż, która uratowała królewskiego ptaka od niechybnej śmierci głodowej.

W zespole monitorującym z „siódemki” uczniowie boleją jeszcze nad jednym bardzo niedobrym obyczajem osób dokarmiających ptaki zimą, ale nie tylko. – Mogłem to zaobserwować u swoich sąsiadów – zauważa Radek. – Przez tydzień było pięknie, pełno ziarna w miseczce... A potem – co dzień pusto i nadal wciąż pusto. Dr Indykiewicz mocno oburza się na spontaniczne, takie czułościowe dokarmianie i od razu tłumaczy dlaczego. – Ptaki to inteligentne stworzenia, łatwo przyzwyczajają się do karmienia przez ludzi. Zaniechanie karmienia powoduje, że szukają go w innych miejskich skupi-

skach, często w tym celu odbywają nawet długie wędrówki, opadają z sił, a potem zmęczone, nie są już w stanie wrócić do gniazd i padają w drodze.

Radek poprosił sąsiadów – jak twierdzi skutecznie – by na przyszłość pamiętali, że miseczka z ziarnami dla ptaków na balkonie powinna być do końca lutego codziennie pełna. Nie zaskodzi też, obok pożywienia, umieścić mały pojemnik z czystą, niezamarzniętą wodą. – Dokarmianie naszych skrzydlatych przyjaciół – kontynuuje z zapałem – to wspaniała lekcja ornitologii. Ale Gosia i Radek nie zapominają o najważniejszym, co podkreśla stale opiekunka ich biologicznego, teraz całkowicie zaangażowanego w monitoring, zespołu. – Dokarmianie, sprawa istotna, zwłaszcza zimową porą. Ale równocześnie dbanie, także zimą, o naturalne i sztuczne siedliska lęgowe, czyli chronienie ich przed cywilizacyjnymi zanieczyszczeniami i zapewnianie tego, co ptaki, poza śpiewaniem, lubią najbardziej – spokój.

Jacek Pawłowski I. 23
fot. archiwum

Tren ofiary bąbli

Przewracam się z boku na bok, by tylko stłumić to, co czuję. Chodzę w kółko po włochatym, burgundowym dywanie, który na domiar złego łaskocze moje zimne, delikatne stopy. Patrzę prosto w czerwone oczy puchatego królika i wiem, że moje są takie same. Przyzwyczałam się do bezsenności, ale trzecia doba to zdecydowanie za wiele. Siadam lekko na karminowym fotelu, wciąż drgając jak powieka i chcę kolejnego zastrzyku na uspokojenie.

Jak się zaczęło? Przyjechałam do domu, jak zwykle, na weekend, przeprać parę rzeczy, przepakować się, spotkać z rodziną, zjeść prawdziwy obiad z pełnym składem sztućców i wypić herbatę, nie żałując sobie cukru. Standardowo najcieplej przywitała mnie mała siostra, zasypała milionami opowieści, w co i z kim bawiła się w przedszkolu, ale zauważyłam, że malutka jest cała w bąblach – miała ospę, oto moje „exordium”. Pewnie w jej wieku też ją przechodziłam, ale okazuje się, że w wyjątkowych przypadkach można mieć ją drugi raz, z tym, że im jest się starszym, tym gorzej to skutkuje.

Kiedy gorączka sięgała 39 stopni w cieniu i płonęła mi każda część ciała, a palące bąble rosły, postraszyli mnie na pogotowiu, że to jeszcze nie koniec, a najgorsze dopiero przede mną. Powiedzieć „nie drap!” do chorego na ospę, to jak zakazać otwierania lodówki studentowi po powrocie do domu. Jak powiedział Tacyt: „Lekarstwa działają wolniej niż choroby” – mam kilka tygodni wyjętych z życia. Wysmarowana płynnym pudrem, kręcę się całe dni i noce jak poirytowany dalmatyńczyk, którego od zadrapania na śmierć dzielą ostatnie odcinki szóstej serii „Dr. House’a”. Nie mogę czytać, nie mogę słuchać, nie mogę oglądać, nie mogę nawet jeść, bo gardło, podniebienie i dziąsła mam także wysypane. Mogę tylko trwać i przeżywać swoje „complotatio”. Jestem biednym ekstrawertykiem wyglądającym jak ofiara chmary krwiożerczych komarów, skazanym na kilkutygodniową samotność. Jestem płonącym bąblem.

Julia Sobecka I. 17

Z „POD WIATR” przez świat

ciąg dalszy ze str. 13.

Niedawno tata przebywał służbowo w Malezji. Opowiadał, że odwiedzając naszą ambasadę w Kuala Lumpur, widział, jak polskie dzieci przychodziły czytać POD WIATR. Wspominał też, że widywał bydgoskie czasopismo w polskich szkołach za granicą. Dodał, że kiedy rozmawiał o nim z Polakami – słyszał pochwały. Głównie dlatego, że POD WIATR wyraża zdanie młodzieży. I może właśnie z tego powodu jest odmienne niż wszystkie inne pisma, a przez to wyjątkowe.

W ten sposób okazało się, że to, co nam opowiadano o POD WIATR – jest prawdą. Dzięki artykułom zamieszczanym w piśmie możemy obserwować siłę przekazu myśli młodzieży. Sami tworzymy to czasopismo. Prezentując w nim zbiór naszych refleksji, obserwacji i doświadczeń – mamy wpływ na innych. Każdy z nas postrzega świat inaczej i możemy ten świat pokazywać ubrany w odpowiednie słowa. Mamy wolność słowa i powinniśmy z niej korzystać. Jestem dumna, że mogę współtworzyć piśmo, które w duchu tej wolności jest głosem młodego pokolenia.

Agnieszka Niewiadomska I. 17

POD WIATR tworzą amatorzy dziennikarstwa, literatury, sztuki plastycznej i fotografii, znajdujący satysfakcję i przyjemność w prezentowaniu na łamach pisma swoich przemyśleń, refleksji, komentarzy wyobrażeń i wizji artystycznych. Autorami czasopisma są uczniowie i studenci z Pomorza, Kujaw i Wielkopolski oraz młodzież pochodzenia polskiego mieszkająca za granicą.

Ideą *POD WIATR*, ukazującego się od października 1993 r., jest umożliwienie młodzieży mówienie własnym głosem o swoich sprawach, promocja talentów dziennikarskich i artystycznych, a także wspieranie dążeń młodych ludzi do intelektualnej samorealizacji.

Łamy pisma oddajemy również dorosłym, którzy nas czytają i pragną do nas napisać. „Polski świat” tworzymy razem i razem za niego odpowiadamy. Przeszłość i teraźniejszość to droga, którą warto przebyć wspólnie. Dla przyszłości.



Nasz adres:

POD WIATR
85-099 Bydgoszcz 23
skrytka pocztowa 49
www.podwiatr.pl
e-mail: wiatr@byd.top.pl
podwiatr93@wp.pl

Bądź z nami, Przyjacielu!

■ Od pierwszego wydania – rozmaitymi drogami: łądem, wodą i powietrzem, za pośrednictwem różnych towarzystw, instytucji, osób prywatnych i duchownych, POD WIATR dociera do odległych o tysiące mil od Kraju środowisk młodzieży polskiej. Gdybyśmy połączyli w jedną linię drogi wiodące nasze czasopismo po światowych szlakach, to zapewne stanęlibyśmy na Księżycu. Polacy są wszędzie – POD WIATR chce być tam, gdzie oni.

■ Jeżeli Ty, nasz młody Przyjacielu, czytając POD WIATR gdzieś daleko od Ojczyzny, odczuwasz pragnienie podzielenia się z nami swoją radością, smutkiem, porażką lub sukcesem – napisz do nas. Opowiedz o swoim życiu, pasjach, swoich tęsknotach i marzeniach. Przyślij swój wiersz, rysunek, opowiadanie. Twoją twórczość, opinię, komentarz i refleksję poznają Rodacy w ponad 500 ośrodkach polonijnych w 106 krajach. Czekamy!

■ Jeżeli znasz miejsca, które pomogły Ci poznać naszą dawną przeszłość, jeżeli gdzieś obok Ciebie znajdują się ślady naszych wspólnych praojców – opowiedz nam o nich. Napisz. Będziesz z nami, a my z Tobą!



Na zdjęciu – symbole Bydgoszczy: Łuczniczka i Marian Rejewski – pogromca Enigmy. Ożywiają je aktorzy Teatru Pantomimy „Dar”, Monika i Jarosław Siechowic. W tle „Przechodzący przez rzekę” i bydgoskie spichrze.
fot. Robert Sawicki



Kenia

mal. Waldemar Żyśk, nauczyciel malarstwa w bydgoskim Młodzieżowym Domu Kultury nr 4.

POD WIATR

...w kioskach
i w prenumeracie.

W województwie kujawsko-pomorskim POD WIATR można nabyć w salonach prasowych oraz w kioskach „Ruch” ,m.in. w Bydgoszczy (pl. Wolności 5), we Włocławku (ul. Żytnia 65), w Inowrocławiu (Rynek 18), Toruniu (ul. Grudziądzka 162), Brodnicy (ul. Kościuszki 2) i Grudziądzu (ul. Wybickiego 31). Zainteresowani prenumeratą krajową czasopisma mogą je zamówić w jednostkach kolportażowych „Ruch” właściwych dla miejsca zamieszkania.